

Repliki

Kevin Carson

2006

Spis treści

„Replika” do Murraya Rothbarda	3
Replika do Boba Murphy’ego	4
Replika do Waltera Blocka	10
Riposta do George’a Reimana	21
Riposta do Rodericka Longa	34
Bibliografia	37

„Replika” do Murraya Rothbarda

Nie jest to replika w dosłownym tego słowa znaczeniu – z tego oczywistego powodu, że artykuł Rothbarda poprzedził ukazanie się mojej książki. Mimo to, a również z tego powodu, że nadaje on ton temu wydaniu „Journal of Libertarian Studies” i zawiera pewne spostrzeżenia co do indywidualistycznego anarchizmu w ogóle, poczynię parę uwag na jego temat.

Nie jest tu miejsce na omówienia kwestii ziemi – tematem tym zajmę się później, w części skierowanej do Rodericka Longa. Chciałbym jedynie zauważyć, że określenie doktryny Ingallsa-Tuckera jako ograniczenia prawa właściciela ziemskiego do wyzbycia się „uczciwie nabytych praw własności” samo przez się nasuwa pytanie, czym owo uczciwe nabycie praw własności jest.

Jeśli chodzi o zagadnienie pieniądza i bankowości, muszę wytknąć Rothbardowi błąd – zinterpretował on bowiem system mutualistycznej bankowości Greene’a-Tuckera jako próbę inflacyjnego poszerzenia zasobów pieniężnych. Co prawda doktryna Greene’a-Tuckera jest często wrzucana do jednego worka (w szerszej kategorii „mianiaków pieniądza”) ze zwolennikami kredytu społecznego, bimetalistami, itd., jednak w rzeczywistości znacznie się od nich różni. Greene i Tucker nie proponowali wywołania inflacji zasobów pieniężnych, a ich celem była eliminacja monopolistycznej ceny kredytu, której istnienie umożliwiają ustanawiane przez państwo ograniczenia wejścia: licencjonowanie banków czy wysokie wymagania kapitałowe dla instytucji zajmujących się udzielaniem wyłącznie zabezpieczonych pożyczek. Większość libertarian zaznajomiona jest z analogiczną krytyką przyznawania licencji zawodowych jako swego rodzaju gwarancją monopolistycznego przychodu dla dostawców usług medycznych, prawnych i innych. Koncesjonowanie i wymagania kapitałowe tak samo pozwalają sprzedawcom kredytu na sprzedawanie swoich usług po cenach monopolistycznych.

W rzeczywistości, nawet sam Rothbard, wychodząc z tych samych przesłanek, przeprowadził analizę branży ubezpieczeń na życie, w której państwowy wymóg rezerwy służył za barierę wejścia na rynek, podnosząc koszt ubezpieczenia znacznie powyżej poziomów niezbędnych ze względów czysto aktuarialnych (Rothbard 1977, str. 59).

Nie można także w żadnym razie uznać, że pierwotna stopa procentowa Böhm-Bawerka była definitywną odpowiedzią Greene’owi i Tuckerowi. Pomijając premię monopolistyczną, stanowiącą konsekwencję państwowego prawa bankowego i znacznie przekraczającą pierwotną stopę procentową, Böhm-Bawerk sam przyznał, że stopa preferencji czasowej może zmieniać się w zależności od bezpieczeństwa gospodarczego i niezależności. Ponieważ, jak twierdzili anarchiści indywidualistyczni, prawa państwowe sztucznie ograniczają dostępność kapitału dla klasy pracującej i zwiększają jej zależność od posiadaczy kapitału, stopa preferencji czasowej pracowników jest sztucznie zawyżona.

Replika do Boba Murphy'ego

Moja ulubiona część recenzji Murphy'ego to powtarzane raz za razem stwierdzenie, że „Carson to nie wariat”. Być może wykorzystam je jako hasło na okładkę w kolejnym wydaniu mojej książki. Niedawno pisarz science-fiction, Ken MacLeod, który ostatnio nabył egzemplarz mojej książki, wspomniał na swoim blogu, że nowy zbiór artykułów z „Reason” to jedyna libertariańska pozycja na jego półkach, z której okładki nie „krzyczy wariat”. Dlatego też z podwójną przyjemnością przyjąłem zapewnienie Murphy'ego.

Kością niezgody między nami jest znaczenie „wyjątków” w kosztowej teorii wartości. Nasz spór, jak mi się wydaje, jest w znacznym stopniu semantyczny i dotyczy tego, czy mamy do czynienia z „wyjątkami”, czy po prostu z drugorzędnymi odchyleniami od pierwotnego prawa; oraz przypisywanej im wagi (niezależnie, czy będą to „wyjątki”, czy „odchylenia”), będącej głównie kwestią subiektywnej emfazy. W przeciwieństwie do Murphy'ego, wolę postrzegać „wyjątki” jako rzadkie odchylenia drugiego rzędu. Tak czy inaczej, nie wpływa to na prawdziwość podstawowego wkładu klasycznej ekonomii politycznej, tj. że cena zawsze zmierza do naturalnej wartości określanej przez koszt, z drugorzędnymi fluktuacjami spowodowanymi rentą ekonomiczną. I analogia Marshalla o falach na stawie czy kołyszającej się wadze wciąż jest adekwatna w opisie zjawisk zachodzących w rzeczywistym świecie. Czynniki kosztu i renta ekonomiczna znajdują się na różnych poziomach istotności, będąc (odpowiednio) fundamentalną tendencją oraz wtórnym zakłóceniem owej tendencji.

Murphy pisze:

Kosztowa teoria wartości (wymiany) całkowicie pomija rolę subiektywnej wyceny w kształtowaniu się cen rynkowych. Ludzie są istotami patrzącymi w przyszłość, stąd minione wydatki i wysiłek nie mają związku z obecnym określeniem względnej wartości dwóch różnych dóbr. Nawet gdyby pamięć o wszystkich poprzednich wydatkach nagle zniknęła, ceny rynkowe wciąż by się kształtowały.

Całkowicie pomija!?? Jestem oszołomiony. Specjalnie poświęciłem część rozdziału pierwszego zagadnieniu utopionych kosztów i działaniu prawa wartości w nakierowanym na przyszłość działaniu. Nawet Friedrich Engels przyznał (w swojej Przedmowie do napisanej przez Marksa krytyki Proudhona w dziele pt. „*Nędza filozofii*”), że cena rynkowa już wyprodukowanych dóbr informuje producenta, *ex post facto*, o ilości społecznie potrzebnej pracy weń włożonej, a tym samym wpływa na jego przyszłą decyzję odnośnie tego, ile produkować.

W dzisiejszym, kapitalistycznym społeczeństwie każdy kapitalista z osobna produkuje na własną rękę co, jak i ile mu się spodoba. Społeczne zapotrzebowanie jednak pozostaje dla niego wielkością nieznaną, zarówno pod względem jakości, rodzaju pożądanых przedmiotów, jak i odnośnie ich ilości. (...) Niemniej jednak, popyt zostanie w końcu zaspokojony w taki czy inny, dobry lub

zły sposób i, ogólnie rzecz biorąc, produkcja jest ostatecznie nastawiona na dobra, na które istnieje zapotrzebowanie. Jak dochodzi do tego wyrównania się pomimo sprzeczności? Poprzez konkurencję. Jednak w jaki sposób konkurencja skutkuje takim rozwiązaniem? Poprzez zwykłą dewaluację poniżej wartości pracy włożonej w wykonanie tych dóbr, które pod względem gatunku lub ilości są bezużyteczne dla bieżących potrzeb społecznych, oraz poprzez wywołanie w producentach poczucia, że (...) wytworzyli oni produkty albo całkiem bezużyteczne, albo też pozornie użyteczne, jednak w niepotrzebnie nadmiernej ilości.

[B]ezustanne odbieganie cen dóbr od ich wartości to warunek konieczny i niezbędny do powstania wartości dóbr jako takich. Jedynie poprzez fluktuacje konkurencji, a w konsekwencji także cen dóbr, prawo wartości produkcji dobra nabiera mocy, a określenie wartości dobra na podstawie społecznie potrzebnego czasu pracy może stać się rzeczywistością. (Marks i Engels 1884, str. 286-87)

To właśnie przez tego typu subiektywne oceny, w odpowiedzi na sygnały ceny rynkowej, cena zbliża się do kosztu. Oczywiście, ceny rynkowe uformowałyby się również w scenariuszu Murphy'ego, przy założeniu o zbiorowej amnezji; jednak pod warunkiem, że zdobywanie nowej wiedzy z doświadczenia nie napotka ograniczeń zewnętrznych, cena dóbr reprodukowalnych ponownie zaczęłyby ciążyć w kierunku kosztów produkcji w miarę, jak producenci odpowiadają na napływające sygnały cenowe.

Murphy pisze, że teoria kosztu znajduje zastosowanie jedynie w przypadku dóbr reprodukowalnych i może wyjaśnić wyłącznie „naturalną (długoterminową) cenę produktu”. Klasyccy ekonomiści polityczni doszli do tych samych wniosków. Ricarda teoria kosztu, która obejmuje także zagadnienie rzadkości, może wytłumaczyć „codzienne fluktuacje ceny rynkowej”. Teorie kosztu przyznają jedynie, że koszt jest naturalną wartością równowagową, do której cena zawsze będzie zmierzała, pomimo ciągłych zakłóceń spowodowanych siłami popytu i podaży. I to właśnie te zakłócenia stanowią *mechanizm*, dzięki któremu cena zbliża się do kosztu.

Murphy oskarża mnie także o bezpodstawny i nieuzasadniony atak na Böhm-Bawerka, gdy skrytykowałem sposób, w jaki potraktował on wyjątki rzadkości. Böhm-Bawerk *explicit*e potwierdził, że Ricardo przyznał, iż istnieją wyjątki od rzadkości, pisze Murphy, i dlatego nie można posądzić go o niezrozumienie Ricarda. Jednak moim zdaniem błąd Böhm-Bawerka tkwił głównie w jego spojrzeniu na znaczenie tych odchyłeń rzadkości dla ogólnej wartości myśli Ricarda. We fragmencie cytowanym przez Murphy'ego, Böhm-Bawerk pisze:

Sam Ricardo tylko nieznacznie przekroczył właściwą granicę. Jak wykazałem, wiedział on bardzo dobrze, że jego prawo wartości jest wyłącznie prawem partykularnym; wiedział na przykład, że wartość dóbr rzadkich kształtuje się na zupełnie innej podstawie. Mylił się on jedynie, znacznie przeceniając stopień,

w jakim jego prawo się sprawdza i przypisując mu praktycznie całkowitą uniwersalność. W konsekwencji, na kolejnych etapach, niemal kompletnie zapomniał on o drobnych wyjątkach, które słusznie uwzględnił, lecz potraktował je zbyt zachowawczo na początku swojej pracy.

Sam poddałem Ricarda krytyce (w pierwszym rozdziale książki) za to, że w niedostatecznym stopniu uwzględnił zakres odchyleń rzadkości od zasady kosztu; jak Marshall później zauważył, większość cen w jakimkolwiek danym momencie znacznie odbiega od ich kosztu czy też wartości równowagowej. Znaczenie kosztu polega na tym, że jest to normalna wartość, do której ceny dążą, co bardzo adekwatnie zilustrował Marshall na podstawie kołyszącej się wagi umocowanej na końcu sznurka. Jednak równie zasadne będzie zarzucenie Ricardo tego, iż poszedł zbyt daleko w przeciwnym kierunku, tzn. że uznawał rzadkość jako drugi, obok kosztu, wyznacznik wartości (jak „krótkookresowe” ostrze nożyczek Marshalla). Choć Ricardo niedostatecznie doceniał zakres odchyleń rzadkości, awansując tym samym rzadkość do statusu niezależnej siły na równi z kosztem, przecenił on ich znaczenie. Mimo że rzeczywiste ceny niemal zawsze odbiegają od ich „normalnej” wartości, z powodu rzadkości, odchylenia są całkowicie wtórne w stosunku do pierwotnego prawa kosztu.

Murphy krytykuje wykorzystanie przeze mnie grawitacji i balistyki w charakterze metafor ilustrujących rzadkość jako przyczynę wtórnych odchyleń od pierwotnego prawa kosztu. Jednak w tym znaczeniu, w jakim ich użyłem – tj. że naturalnym zachowaniem przedmiotu poddanego działaniu grawitacji jest spadanie w kierunku centrum kuli ziemskiej, pod warunkiem braku przeszkód w postaci sił drugorzędnych – wciąż uważam to za analogię całkiem na miejscu. W rzeczywistości, moim zamiarem, używając grawitacji jako metafory, było tak naprawdę to, co Murphy mi zasugerował: „Grawitacja sprawia, że wszystko spada”, prawo, które jest „ogólnie prawdziwe, chyba że jest wystawione na działanie sił zakłócających”. W rzeczy samej, „siły zakłócające” to genialna fraza służąca opisaniu relatywnego znaczenia odchyleń rzadkości wobec bardziej ogólnej tendencji kosztu – żałuję, że sam o tym nie pomyślałem. A chciałem wyrazić, prawdopodobnie niezbyt jasno, coś na kształt metafory Marshalla, w której obciążnik na sznurku zawsze będzie powracał do środka na przekór zakłóceniom.

Tak czy inaczej, pozostaje zagadnienie, które jest w znacznej mierze kwestią subiektywnej oceny. Jeśli teoria wartości wymiennej mówi, że „ogólna tendencja zmierza w kierunku wartości x , z wtórnymi odchyleniami spowodowanymi przez y ”, to czy fair jest traktowanie y jako „wyjątku” w stosunku do tego stwierdzenia? Wierzę, że dotarliśmy do momentu, w którym musimy jasno stwierdzić, że nie ma między nami zgody w tej materii; nie ma możliwości odwołania się do obiektywnych faktów, które umożliwiłyby jej rozstrzygnięcie. Moim zdaniem powinniśmy odrzucić „teoretyczne uogólnienie”, jeśli ono w ogóle istnieje, gdy chcemy adekwatnie opisać świat realny i uwzględnić jego złożoność. Jednakże, na korzyść mojego podejścia przemawiają pewne względy praktyczne. O tym niżej.

Sam Murphy stwierdza, że „długookresowa tendencja ceny dóbr reprodukowalnych, w wyniku której zrównuje się ona z nakładami pieniężnymi, (...) niezbędna dla ich dalszej produkcji, jest całkowicie kompatybilna z wyjaśnieniem przedstawionym przez użyteczność krańcową”. A, jak

sam mogę dodać, subiektywistyczne wyjaśnienie zachowania jednostki na rynku w duchu użyteczności krańcowej jest całkowicie kompatybilne z ramami klasycznej ekonomii politycznej. W rzeczy samej, wyjaśnienie to było uwzględnione (*implicite*) w klasycznej ekonomii politycznej jako mechanizm funkcjonowania prawa wartości poprzez siły popytu i podaży. Zaletą subiektywistycznego/marginalistycznego paradygmatu jest bezpośrednie wyartykułowanie tego mechanizmu (*explicite*). Opracowawszy jasny subiektywny mechanizm określania krótkookresowych cen, tj. w momencie sprzedaży, marginaliści dokonali ogromnego postępu. Jednak ich niepodważalne zasługi dobrze byłoby włączyć w ogólniejszą syntezę klasycznego paradygmatu, niż przedstawiać go jako opozycję do niego.

Murphy stoi murem za dążeniem subiektywistów do większego uogólnienia i elegancji. Jak napisałem w pierwszym rozdziale, cytując „*Cost and Choice*” (1999, str. 9) Buchana, subiektywiści wzięli paradygmat klasycznych ekonomistów politycznych dotyczący rzadkich dóbr (jak dzieła sztuki, zabytki, czy pokarm w obleżonym mieście) i uczynili zeń paradygmat dla analizy *każdej* wartości wymiennej, traktując wielkości jako stałe w momencie sprzedaży. Jest to, w rzeczy samej, przykład większej formalnej spójności. A Böhm-Bawerkowskie krańcowe pary to wspinały sposób na zrozumienie ustalania się cen bieżących. Pytanie jest jednak następujące: czy rzekoma „większa ogólność” osiągnana dzięki zastosowaniu zasad dotyczących dóbr rzadkich do wszystkich dóbr przeważa nad brakiem klarowności w kwestii wielu centralnych problemów klasycznej ekonomii politycznej?

Spostrzeżenie klasyków, iż cena zbliża się do kosztu, chyba że mamy do czynienia z druzgordnymi czynnikami, ma daleko idącą wartość poznawczą. Gdy zestawimy je z obserwacjami radykalnych uczniów Ricarda na rolę „sztucznych praw własności” i innych stworzonych przez państwo niedoborów, powodujących odchylenia od zasady kosztu, konkluzje są rewolucyjne. I, jak przynajmniej zwykle się tłumaczy, znaczna część dorobku wczesnych marginalistów/subiektywistów w politycznym kontekście ich czasów sprawia wrażenia celowo zaprojektowanego tak, aby przysłonić zasługi późnych Ricardian. Odrzucenie ich na rzecz wyłącznie większej formalnej elegancji byłoby moim zdaniem ogromnym błędem.

W końcu, jako sprawę mniejszej wagi, Murphy zwraca uwagę, że stosuję termin „cena równowagi” w znaczeniu, które wyszło z obiegu; wykorzystuję je, jak twierdzi, w rozumieniu, które bliższe jest temu, co Mises nazywał *ceną ostateczną*. Przyznaję, że w mojej książce używam terminu „cena równowagi” w archaicznym, dziewiętnastowiecznym rozumieniu na oznaczenie naturalnej wartości, do której dąży cena. Ale jestem pewien, że *explicite* wymieniłem „*cenę ostateczną*” Misesa jako wyrażenie analogiczne do mojego, w odpowiedzi na austriackie obiekcje, jakoby „długi okres” nie istniał.

Odchodząc od głównego punktu naszego sporu, Murphy porusza inne zagadnienia. W rozdziale drugim dowodzę, że praca stanowi wyjątkowy czynnik produkcji, gdyż niesie za sobą dodatnią i absolutną nieużyteczność. „Wstrzymanie się”, „poświęcenie”, „oczekiwanie”, czy „koszt alternatywny”, kojarzone przez inne szkoły z ziemią i kapitałem, są zależne w znacznej mierze od sytuacji i mogą wynikać z legalistycznej pozycji, z której można zaniechać prób utrudnienia dostępu. Przytaczam przykład Maurice’a Dobba odnośnie państwowych grantów, oferujących możliwość blokowania dróg i ustanowienia prywatnych opłat za ich użytkowanie, czego rezultatem jest rzekoma „produktywność” tego „czynni-

ka”, kiedy poborca opłat zezwala na darmowy przejazd. Rozwijam ten punkt, twierdząc, że na tych samych zasadach właściciel niewolników „dostarcza” „czynnik” produkcji, naj-
mując siłę roboczą swoich niewolników. Murphy odpowiada:

Tak, Panie Carson, dokładnie w taki sam sposób wyjaśniłbym wycenianie niewolników. (...) Subiektywna teoria wartości może wyjaśnić ceny nawet w warunkach nie przystających do naszego poczucia sprawiedliwości. Mogę także przeanalizować, powiedzmy, cła na samochodach, choć sam uważam cła za niemoralne i niewydajne.

Zgoda. Nie mam nic przeciwko teoretycznym mechanizmom wyjaśniającym wycenę niewolników, przejazdu przez prywatne bramki, dóbr objętych cłem czy czegokolwiek innego. Jednak w żaden sposób nie zmienia to faktu, że wycena taka jest wynikiem sztucznego niedoboru spowodowanego przez nadany przez państwo przywilej; oraz, że „wstrzymanie się”, „poświęcenie” czy „koszt alternatywny” w tym przypadku nie przenoszą żadnej moralnej wartości zwykle przypisywanej tym terminom („wstrzemięźliwy kapitalista”) w popularnej kapitalistycznej apologetyce. Chodziło mi o to, że takie „koszty alternatywne” były nierozzerwalnie związane ze sztucznie uprzywilejowaną kontrolą nad dostępem, a więc różnią się znacznie od rzeczywistego poświęcenia związanego z nieużytecznością pracy. Co więcej, moim zamiarem było udowodnienie (i w mojej opinii, podołałem temu zadaniu), że takie sztuczne niedobory „czynników produkcji”, będące wynikiem przywilejów prawnych, są najistotniejszym źródłem długookresowych odchyleń od wartości pracy.

Murphy porusza także pewną kwestię, która, przyznaję, z początku sprawiła mi niemałe trudności. Broniąc rzeczywistej (i nierelatywnej) nieużyteczności związanej z kosztem alternatywnym, Murphy podaje przykłady właściciela pewnego obszaru dziewiczego lasu, który to właściciel czuje się bardzo niekomfortowo na myśl o tym, że część drzew miałaby zostać wycięta, oraz wdowy, która jest „*zmuszona zastawić swoją obrączkę ślubną, aby uniknąć śmierci głodowej*”. Jednak po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że przykłady te nie dotyczą cen czynników produkcji w gospodarce kapitalistycznej. Podczas gdy subiektywny ból może być rzeczywisty, subiektywne znaczenie takich wyjątkowych i niereprodukowalnych dóbr niewiele ma wspólnego z cenami rynkowymi nakładów, które generalnie traktowane są, przynajmniej na większą skalę, jako stałe i jednorodne. Obrączka wdowy nie może w żadnym wypadku być traktowana jako czynnik produkcji, poza przypadkiem, w którym pieniądze pochodzące z jej sprzedaży zainwestowano by w produkcję (a nie w jedzenie, jak w przykładzie Murphy’ego). I choć sentymentalna wartość drzew może wpłynąć na „koszt alternatywny” sprzedaży ziemi dla Pana Murphy’ego, cena, za którą zdoła on znaleźć chętnego nabywcę, będzie zależała od tego, ile tak naprawdę ziemia jest warta, co sprowadza nas ponownie do pytania o rolę państwowego „sztucznego prawa własności” w określeniu ceny wolnych gruntów. Koszt alternatywny, który zazwyczaj wyznacza koszt czynników produkcji w szerszej gospodarce kapitalistycznej, odzwierciedla standardowy przychód przy różnych sposobach wykorzystania czynnika w istniejących ramach prawnych i instytucjonalnych. Podczas gdy wartość sentymentalna lasu bądź pierścionka może

mieć znaczny wpływ na cenę, za którą Pan Murphy lub wdowa są gotowi je sprzedać, ma ona niewiele wspólnego z dominującą rynkową ceną czynników produkcji dla kupującego, który nie jest zainteresowany takimi wyjątkowymi właściwościami.

W tym wypadku fakt, że ziemia jest (jak Murphy podkreśla) dziewiczym lasem, oznacza, że nie została ona zmieniona nakładem pracy właściciela lub kogokolwiek innego w przeszłości; i stąd też prawo własności w tym konkretnym przypadku nie spełnia nawet Locke'owskich standardów, jakim hołdował Rothbard i sprowadza się *de facto* do, jak zgrabnie określił to Jerry Tuccille, „*anarchistycznej grabieży ziemi*” (Tuccille 1970, str. 3). Powracamy zatem do pierwotnego zagadnienia: sztucznie wytworzonego niedoboru, w tym przypadku wynikającego z narzuconego przez państwo monopolu na ziemię, która nigdy nie była prawowicie zagospodarowana.

Idąc dalej, Murphy krytykuje moje rozważania dotyczące preferencji czasowej, jakie przeprowadziłem w rozdziale trzecim. Zgłasza on obiekcje odnośnie mojej analizy (zapożyczonej w rzeczywistości od Maurice'a Dobba) preferencji czasowej jako renty ekonomicznej na pracy, co wynika z jej wzrastającej nieużyteczności, jako „jeszcze jednego czynnika w 'rynkowych przepychankach' [Adam Smith], przez który produkt pracy alokowany jest pomiędzy pracowników”. To, mówi Murphy, „po prostunie przejdzie”. Oznacza to bowiem, według niego, pomieszczenie niższej użyteczności przyszłego produktu z wyższą nieużytecznością pracy teraz. Jednak, moim zdaniem, w praktyce sprowadzają się one do czegoś dość podobnego. Zdaję sobie sprawę z teoretycznego rozróżnienia. Lecz wszyscy znamy bajkę o koniku polnym i mrówce; i w tej historyjce większa przykrość wynikająca z pracy wykonanej dziś niż z pracy wykonanej później oraz mniejsza waga przykładana do „jutrzejszego dżemu” niż do „dzisiejszego dżemu”, w zdroworozsądkowym rozumieniu sprowadza się do tych samych właściwości natury ludzkiej. Sam Rothbard czasem zacierał różnicę pomiędzy preferencją czasową i Marshallowskim „czekaniem” w stopniu, który z pewnością zasmuciłby Böhm-Bawerka (Rothbard 1993, str. 294-95, 298); Roger W. Garrison twierdził z kolei, że koncepcja „czekania” jako czynnika produkcji była kompatybilna z austriacką preferencją czasową (Block i Rockwell 1988, str. 49). Podobnie, uważam, że teoria preferencji czasowej Böhm-Bawerka należy do szerszej kategorii blisko powiązanych ze sobą teorii (wraz z abstynencją Seniora i czekaniem Marshalla) i w znacznie mniejszym stopniu odbiega ona – pod względem radykalizmu i treści – od jej poprzedników niż on sam chciałby wierzyć.

W końcu Murphy cytuje moje stwierdzenie, że „[t]ylko w kapitalistycznej (tzn. państwowej) gospodarce istnieje klasa posiadaczy, bogata znacznie ponad swą zdolność konsumowania, która może leżeć do góry brzuchem zarabiając na wypożyczeniu producentom drogo środków do życia”. A następnie pyta się: co dzieje się w społeczeństwie mutualistycznym

jeśli przedsiębiorczy pracownik zdoła zgromadzić spory zapas dóbr konsumpcyjnych i sprzedaje je w zamian za przyszłe korzyści? Czy nie mógłby on w nieskończoność utrzymywać się z procentu? Czy byłoby to zakazane, czy też może Carson zaprzecza, jakoby taka sytuacja mogła się zdarzyć bez interwencji państwa?

Odpowiedź to, oczywiście, ta druga opcja. Za Benjaminem Tuckerem powtarzam, że jeśli pracownik jest w stanie zgromadzić takie zapasy środków dzięki własnej pracy, bez pomocy monopolu wymuszonego przez państwo; i jeśli zdoła on znaleźć nabywcę, który zechce dobić z nim interesu na powyższych zasadach – w takim przypadku tym lepiej dla niego! Jednak przy braku lichwiarskich, monopolistycznych ulg kredytowych, będących rezultatem państwowych barier wejścia na rynek, przy dostępności tańszych alternatyw kredytowych w postaci banków mutualistycznych i przy znacznie mniej „stromych” preferencjach czasowych w społeczeństwie oraz przy szerszym dostępie do własności, myślę, że o wiele trudniej byłoby mu znaleźć chętnego na taki układ niż ma to miejsce w przypadku obecnych pożyczkodawców.

Jeden z punktów krytyki autorstwa Murphy’ego wydaje mi się całkowicie zasadny. W mojej książce niewiele jest mowy o absolutnych poziomach cen. Poświęciłem temu zagadnieniu niewiele uwagi, wierząc, że konflikt między teorią laborystyczną i subiektywną tkwi głównie w relatywnej wartości wymiennej. Jednak prace Misesa i późniejszych przedstawicieli szkoły austriackiej na ten temat z pewnością warte są przemyślenia i jeśli kiedykolwiek będę miał okazję opublikować wydanie poprawione „*Studies in Mutualist Political Economy*”, mam nadzieję poświęcić tej kwestii więcej uwagi.

Replika do Waltera Blocka

Na początku swojej recenzji Walter Block stwierdza, że moja książka „[m]oże naprawdę doprowadzić czytelnika do szału”. Niedługo potem komentuje półzartem, że sam wysiłek, jaki włożyłem w jej napisanie to „kolejny dowód na bólczki, z jakimi boryka się laborystyczna teoria wartości”. Mógłbym, w tym samym duchu, odpowiedzieć, że stopień jego frustracji, pomimo ewidentnie niewielkiego wysiłku włożonego w uważne przeczytanie książki, to dowód na nieużyteczność pracy.

Szczególnie wzburzenie zdaje się powodować fakt, że pomimo mojej oczywistej „dogłębnej znajomości twórczości libertarian, którzy w największym stopniu przyczynili się do rozwoju ekonomii politycznej” (włączając w to „nie mniej niż dziewięć” publikacji Rothbarda), znajomość ta „okazuje się w przypadku Carsona zupełnie nieprzydatna, gdyż przyjmuje on laborystyczną teorię wartości za podstawę przeprowadzanych przez siebie rozważań analitycznych”. To bardzo wymowny komentarz. Jak się zdaje, jedynym sensownym zachowaniem, zobaczywszy przytoczoną przez Blocka listę autorytetów, jest nie krytyczna analiza, lecz padnięcie na kolana. I rzeczywiście, odpowiedź Blocka na większość mojej krytyki austriaków sprowadza się praktycznie do przemawiania ich słowami oraz powtarzaniu niektórych uwag Böhm-Bawerka lub Misesa, które „każdy zna”, nigdy nie odnosząc się bezpośrednio do moich kontrargumentów.

W rzeczy samej, podejście Blocka przypomina mi cytat z „*Capital and Interest*” Böhm-Bawerka, który wykorzystałem jako epigraf dla mojej książki:

Skrytykowałem prawo Laborystycznej Wartości z całą surowością, na którą doktryna tak jednoznacznie fałszywa zdała mi się zasługiwać. Jest tak też być

może, że moja krytyka jest wrażliwa na wiele obiekcji. Jedną jednak rzecz zdaje mi się pewna: szczerzy naukowcy dążący do odkrycia prawdy nie będą w przyszłości próbować zadowalać się zwykłym oświadczeniem niezawodności prawa wartości, jak dotychczas się to działo.

W przyszłości każdy, kto myśli wyznawać to prawo będzie wprawdzie zobligowany pokazać to, co jego poprzednicy pominęli – dowód, który można potraktować z powagą. Nie cytaty z autorytetów; nie protesty i dogmatyczne frazesy; lecz dowód, który szczerze i systematycznie wyjaśnia esencję sprawy. Na takiej podstawie nikt nie będzie tak chętny i gotowy powziąć dalszą dyskusję, jak ja.

Podjąłem próbę przedstawienia takiego dowodu w części pierwszej mojej książki. Teraz piłęczka znajduje się po drugiej stronie. Niektórzy subiektywiści, jak Bob Murphy i Rodrick Long, jako kontrargument rozważnie odpowiadają, że nadzieje Böhm-Bawerka odnośnie popleczników teorii laborystycznej były próżne. Jednak zdecydowanie zbyt wielu subiektywistów winnych jest tego samego lenistwa intelektualnego, które Böhm-Bawerk krytykował u swoich adwersarzy. Zamiast zdobyć się na spójne wyjaśnienie, *dlaczego* dobra powinny podlegać wymianie proporcjonalnie do włożonej pracy, czy też wypracować *mechanizm*, który doprowadziłby do takiego stanu rzeczy (skarży się Böhm-Bawerk), zwolennicy laborystycznej teorii wartości powołują się na autorytet Smitha, Ricardo czy Marksa, w taki sam sposób, w jaki trzynastowieczni scholastycy mogli powołać się na Arystotelesa.

Podobnie dzisiaj, w jednej libertariańskiej pozycji za drugą, wyraźnie widać, że jakiegokolwiek nawiązanie do laborystycznej teorii wartości zostaje zdyskredytowane takimi właśnie odwołaniami do konwencjonalnych, „znanych każdemu” mądrości. Przykładowo, raz za razem natrafiam na rzekome dowody z drugiej lub trzeciej ręki, bądź to u polemistów libertariańskich, bądź z wykładów Econ 101, na które *de facto* odpowiedzieli już 150 lat temu Ricardo i Marks. Tyczy się to również głównego argumentu Blocka – „orzechowej babki błotnej”, o którym każdy, kto kiedykolwiek *przeczytał* cokolwiek autorstwa Ricardo lub Marksa wstydziłby się nawet napomknąć. Równie łatwo natknąć się na „próby obalenia” twierdzeń, które nigdy nie wyszły spod pióra klasycznych ekonomistów politycznych; jednak skoro „obalający” biorą swoje „dowody” z drugiej lub trzeciej ręki, mają oni jedynie bardzo mgliste pojęcie o tym, co przedmiot ich krytyki faktycznie stwierdził. „Zasada numer jeden: coś jest prawdziwe, jeśli jest często powtarzane!”

Wracając do naszego chochoła, „orzechowej babki błotnej”, Block nie tylko uznaje argument „pracy społecznie koniecznej” za okrężny, ale sprawia także błędne wrażenie, że była to idiotyczna odpowiedź na jakiś wymowny argument subiektywistów. W rzeczywistości, idea, że producent poznaje zakres społecznie koniecznej pracy wymaganej do stworzenia produktu, *ex post facto*, na podstawie ceny, jaką produkt ów osiąga na rynku, została po raz pierwszy przedstawiona przez Marksa w jego wczesnych sporach z Proudhonem (patrz: cytaty z „*Nędzy filozofii*” w powyższej replice do Murphy’ego). A zatem zupełnie na odwrót: argument „orzechowej babki błotnej” jest wyrazem lenistwa intelektualnego tych, którzy

nie za bardzo zdawali sobie sprawę, co krytykują, żeby uświadomić sobie, że Marks „odpowiedział” na niego na długo przed jego sformulowaniem.

Drugi argument krytyczny, przedstawiony przez Blocka, dotyczy zagadnień „czasu, ryzyka i preferencji czasowej”. Wygląda na to, że Block oczekuje, iż takie argumenty całkowicie odbiorą mi mowę; to dość nietypowe, jeśli wziąć pod uwagę, że poświęciłem cały rozdział preferencji czasowej i specjalnie zazaczyłem w tekście, że Tuckerowska krytyka zysku dotyczy jedynie zysku *netto*, lub zysku z kapitału jako takiego, nie zaś premii za ryzyko. O ile mi wiadomo, nawet najbardziej zagorzały mutualista nie przeciwstawiłby się łączeniu ryzyka przez firmy ubezpieczeniowe; a premia za ryzyko w niczym z zasady się nie różni.

Jeśli chodzi o „czas”, podejście Blocka do tego zagadnienia to jeden z licznych fragmentów jego recenzji, które sprawiają, że zaczynam się zastanawiać, jak to możliwe, że przeczytał on moją książkę. Jego argument to nic innego, jak tylko przetworzona wersja dawnej doktryny funduszu pracy, wedle której zapobiegawczy kapitalista przychodzi z pomocą nieszczęsnemu robotnikowi, który nie ma żadnych oszczędności, z których mógłby wyżyć podczas procesu produkcji, w zamian otrzymując coś za swój „wkład”. To wszystko brzmi wspaniale, być może wyłączywszy to, jak to się stało, że pracownik stał się tak zależny i w jaki sposób środki produkcji i „fundusz pracy” skupiły się w rękach niewielkiej grupy ludzi.

Odpowiedź na to pytanie, które Block tak zbywa, przywodzi na myśl dowcip Harry’ego Browne’a: państwo najpierw łamie ci nogi, a następnie jest z siebie niezmiernie dumne, jako że wręczyło ci kule. Znaczna część mojej książki poświęcona jest historii akumulacji pierwotnej, w której klasy posiadające (w zмовie z państwem) ograbiły klasy pracujące z ich własności ziemskiej.

Odnosnie do preferencji czasowej, Block narzekając na niezadowolającą liczbę „dziewięciu stron” poświęconych jej w rozdziale trzecim, stwierdza: „Bardzo kiepsko mi to wygląda”. O zgrozo, Block streszcza mój dziewięciostronicowy wywód w jednym zdaniu i odrzuca go, nie przedstawivszy swoim czytelnikom żadnej niezależnej podstawy do zrozumienia, co tak naprawdę krytykuje. Oto cytowane przez niego zdanie:

Kiedy pracownicy powstrzymują się od bieżącej konsumpcji celem zgromadzenia własnego kapitału, preferencja czasowa stanowi po prostu dodatkową formą nieużyteczności pracy, w przeciwieństwie do pracy przyszłej.

W przeciwieństwie do Murphy’ego, Block nie pofatygował się, aby odpowiedzieć na ten właśnie argument. Od razu zadaje pytanie:

Jest to zdumiewająco mało pomocne. Skąd (...) zdaniem Carsona pierwotnie wywodzą się przedsiębiorcy, jeśli nie spośród przedstawicieli klasy rzemieślniczej, którzy zaczynają pracować na własny rachunek, redukują swoją konsumpcję poniżej przychodu, a powstałe w ten sposób oszczędności wykorzystują na opłacenie pracowników na zasadzie roszczenia o wartość pozostałą?

Choć czytelnik może tego nie wywnioskować z lektury recenzji Block'a, poświęciłem znaczną część mojej książki dokładnej odpowiedzi na to właśnie pytanie. Przede wszystkim, pomimo błędnego wrażenia, jakiemu ulega Block, „kapitalistyczny przedsiębiorca” to nie jedno słowo. Wbrew błędnemu obrazowi Rewolucji Przemysłowej przedstawionemu przez Misesa, przedsiębiorcy, którzy wybili się z „klasy rzemieślników” dzięki ciężkiej pracy i wstrzeźliwości, dostarczali mniejszej części ogólnego kapitału inwestycyjnego. Stawali się co najwyżej młodszymi partnerami wielkich potentatów: osiadłej oligarchii Wigów i wielkich fortun kupieckich. Można by się spodziewać, że Block zna podział (dokonany przez niedawno zmarłego Samuela Edwarda Konkina i innych rothbardiańskich radykałów) na przedsiębiorców i bezproduktywnych rentierów. Wymagamamy jednak zbyt dużo.

Block kontynuuje:

Oczywiście nie można zaprzeczyć, że niektórzy stają się kapitalistami, kradnąc przeszłą pracę, jak Carson raz za razem powtarza, ale nie musi tak być w każdym przypadku.

Block najwidoczniej wziął sobie to serca słowa Tweedledee: „*Jeśli coś było, to jest to możliwe; jednak jeśli czegoś nie ma, to nie jest. To logiczne*”. Prawdziwość tego stwierdzenia jest kwestią historyczną, której poświęciłem całe dwa rozdziały (czwarty i piąty), powołując przy okazji masę dowodów – coś, czego nie nazwałbym raczej „powtarzaniem”. Wsuwanie bezpodstawnych twierdzeń, zarazem ignorując już istniejące dowody przeciwstawne, zdaje się raczej być specjalnością Blocka.

W rzeczywistości, „[opracowałem] *odpowiedź na niszczycielską krytykę socjalizmu autorstwa Böhm-Bawerka*”. Znajduje się ona na owych dziewięciu stronach, obok tego jednego, zacytowanego przez Blocka zdania. To właśnie jeden z tych momentów, że zastanawiam się, czy Block rzeczywiście przeczytał moją książkę, czy tylko przewertował ją w poszukiwaniu materiału, który dałby mu okazję do drwin i zapodania uprzednio przygotowanych formułek. Zamieszczam tutaj, żeby zapewnić czytelnikowi podstawę do niezależnej oceny, następujący wyjątkowo zwarty fragment z rozdziału trzeciego:

Böhm-Bawerk zwykle obstawał przy ahistorycznej perspektywie na rzeczywiste źródła dystrybucji własności; zakładał z góry, że klasy posiadające miały do dyspozycji nadwyżkową własność, którą mogły zainwestować dzięki swej obrotowości i przedsiębiorczości. Często w ogóle nie odnosił się do tej kwestii i po prostu zakładał daną dystrybucję własności.

(...)

Wywłaszczone zastępy robotników, podobnie jak kapitaliści, po prostu sobie były; wyskoczyli jak Filip z konopi.

(...)

Ale dlaczego robotnicy mieliby nie posiadać na własność środków produkcji, indywidualnie lub wspólnie; albo dlaczego nie mieliby współpracować i utwo-

rzyć własnego „funduszu pracy” z którego by się żywili podczas procesu produkcji – tego Böhm-Bawerk nie wyjaśnił. Nie zastanawiał się też, dlaczego tak się składa, że kapitaliści znaleźli się w posiadaniu tak ogromnych ilości niepotrzebnego im bogactwa. Nie jest przecież historyczną koniecznością, żeby zdecydowana większość zasobów produkcyjnych kraju znajdowała się w rękach garstki ludzi, a nie pracującej większości. Böhm-Bawerk uważał to za cokolwiek nieznaczący fakt. Szukając przyczyn takiej sytuacji, będziemy musieli wyjść poza jego prace.

Odpowiedź możemy znaleźć nie w teorii ekonomii, lecz w historii. Rzeczywiste rozłożenie własności pomiędzy różnymi klasami, która to kwestia była dla Böhm-Bawerka owiana tajemnicą, jest historycznym wynikiem państwowej przemocy. W kolejnym rozdziale przeanalizujemy proces pierwotnej akumulacji, za sprawą którego pracująca większość została siłą wywłaszczona ze środków produkcji, zmieniona w klasę robotniczą i od tego czasu powstrzymywana przez prawo i przywilej przed dostępem do kapitału.

Na ten moment wystarczy stwierdzić, że choć preferencja czasowa jest uniwersalnym faktem nawet przy równym rozłożeniu własności, następstwa akumulacji pierwotnej sprawiają, że preferencje czasowe są znacznie bardziej strome niż byłyby, gdyby historia potoczyła się inaczej. Preferencja czasowa nie jest stałą. Jest znacznie bardziej zorientowana na terażniejszość dla robotnika pozbawionego niezależnego dostępu do środków produkcji, środków do życia i bezpieczeństwa. Nawet wulgarni ekonomiści polityczni dostrzegali, że stopień biedy wśród klas pracujących determinował ich poziom płac, a więc także poziom zysków

(...).

W gospodarce powszechnej własności, która istniałaby, gdyby pozwolono wolnemu rynkowi rozwijać się bez rabunku na szeroką skalę, preferencja czasowa wpływałaby jedynie na decyzję robotnika dotyczącą konsumpcji dziś względem konsumpcji jutro. Wszelka zaś konsumpcja, dzisiejsza czy jutrzejsza, byłaby bez wątpienia owocem pracy. Tylko w kapitalistycznej (tzn. etatystycznej) gospodarce istnieje klasa posiadaczy, bogata znacznie ponad swą zdolność konsumowania, która może leżeć do góry brzuchem, wypożyczając producentom środki do życia w zamian za roszczenie do przyszłej produkcji.

Głównym krytykiem Böhm-Bawerka (któremu poświęcone jest te dziewięć stron, podlane bogatymi cytatami z samego Böhm-Bawerka) jestem ja – co nie wydaje się szczególnie dziwne, biorąc pod uwagę, że to moja książka.

Prawdopodobnie największe wpadki Blocka w jego recenzji to komentarze dotyczące stosunków pracy:

Postrzega on [Carson] (...) gospodarkę jako grę o sumie zerowej, gdzie kapitalista może zarobić wyłącznie kosztem pracownika. Wydaje się, że nie zdaje

on sobie sprawę z tego, że wszelkie interakcje rynkowe, szczególnie te pomiędzy pracownikiem i pracodawcą, są z konieczności obustronnie korzystne *ex ante*. (...) Myśli on (...), że „zysk jest wynikiem nierównej wymiany”; błagam – cóż to takiego? W pewnym sensie każda wymiana jest równa, gdyż obydwie strony zyskują *ex ante*. ... Powtarza on ten błąd kilkakrotnie w swojej książce. (...) Jednakże postrzega on (...) „kapitalistyczne działania pomiędzy dorosłymi, zgadzającymi się jednostkami”, przywołując trafne sformułowanie Nozicka, (...) w jak najbardziej pozytywnym świetle, słusznie odrzucając koncept rynku jako gry o sumie zerowej. Zachodzę w głowę, jak to możliwe, że w jednych fragmentach wykazuje się takim rozsądkiem, a w innych z kolei popełnia tyle karygodnych błędów.

Aby uzyskać odpowiedź na to pytanie, Block nie musi sięgać dalej, niż do Franza Oppenheimera (jednego z jego długiej listy autorytetów, których znajomość na niewiele mi się zdała). „Nierówna wymiana” i „gra o sumie zerowej” są skutkiem interwencji państwa w rynek. Wolna wymiana, bez interwencji państwa, jest faktycznie obustronnie korzystna i tworzy Pareto-optymalny rezultat, w wyniku którego wszyscy zyskują, a nikt nie traci. Nie ma to jednak zbyt wiele wspólnego ze stosunkiem pracy w obecnej gospodarce. Odrzucam ideę rynku jako gry o sumie zerowej, konsekwentnie, w każdej części mojej książki. Uważam, że obecna gospodarka kapitalistyczna jest grą o sumie zerowej, dokładnie z tego powodu, iż *nie* jest ona wolnym rynkiem.

Block, co chyba teraz dość oczywiste, nie jest zdolny do pojęcia podziału na „rzeczywiście istniejący kapitalizm” i wolny rynek (jak na ironię, później oskarża mnie on o celowe pomieszczenie tego właśnie rozróżnienia – patrz poniżej). W rzeczywistości, jego obrona istniejących stosunków pracy, posługując się wolnorynkową retoryką, to jedna z głównych cech rozpoznawczych tego, co ja nazywam „wulgarnym libertarianizmem”. Przytaczam cytat z rozdziału czwartego mojej książki:

Wulgarni libertarianie – apologety kapitalizmu – używają terminu „wolny rynek” dość dwuznacznie: wydaje się, że mają oni problem z pamiętaniem, raz za razem, czy bronią obecnego kapitalizmu, czy wolnorynkowych zasad. Stąd otrzymujemy standardowe pomieszczenie pojęć w artykułach w „The Freeman”, gdzie jeden z autorów twierdzi, iż bogaci nie mogą stać się bogatymi na koszt biednych, ponieważ wolny rynek nie działa w ten sposób – *implicite* zakładając, że to jest wolny rynek. Kiedy wypomni się im to, niechętnie przyznają, że obecny system to nie wolny rynek i że państwo faktycznie sprzyja bogatym. Ale jeśli myślą, że może im to ujść na sucho, nie wahają się bronić bogactwa korporacji wykorzystując do tego „wolnorynkową retorykę”.

W odpowiedzi na takie komentarze Block’a pomoc może jedynie zacytowanie fragmentu recenzji Boba Murphy’ego:

Nigdy tak naprawdę nie rozważałem korzeni faktycznej dystrybucji tytułów własności i Carson ma wiele racji twierdząc, że typowa, libertariańska obrona współczesnej relacji pracodawca/pracobiorca może być fundamentalnie naiwna właśnie ze względu na niezajomość historycznego rozwoju kapitalizmu.

W innym fragmencie dotyczącym zatrudnienia Block pisze:

Carson stwierdza (...): „W stanie wolnej i nieograniczonej wymiany wszystkie transakcje są dla obu stron korzystne. Jedna strony korzysta kosztem drugiej tylko gdy siła wchodzi w grę”. Wszystko to wygląda jasno i logicznie. Z pozorów. Napotykamy jednak pewną trudność, kiedy zdamy sobie sprawę, że dla tego autora „władza” występuje w każdym przypadku, kiedy pracodawca składa ofertę pracownikowi.

Tak – jeśli zasoby są skupione w rękach niewielkiej liczby pracodawców, jeśli pracobiorcy pozbawieni są niezależnego dostępu do środków produkcji i utrzymania i jeśli rynek pracy przekształcony zostaje w rynek kupującego, z czego wszystko jest wynikiem działania państwa – wtedy mamy do czynienia z wyzyskiem. Block podejmuje jednak rękawicę: co, jeśli pracodawca uprzednio był pracobiorcą, który zgromadził fundusz pracy ze swoich własnych zarobków, a następnie jego współpracownicy poprosili go, aby wziął na siebie ryzyko nowego przedsięwzięcia? Czy uznałbym to za wyzysk? Nie, poza przypadkiem, w którym stopa zwrotu, której zażąda, znajdowałaby się pod wpływem wyznaczonych przez państwo przeszkód w wejściu na rynek bankowości. Gdyby moja babcia miała węża, uważałbym ją za dziadka!

Wśród błędów, które rzekomo prześladują moją pracę, Block wymienia również „*pomylenie zysków (które znikają w stanie równowagi) z wpływami (które nie znikają)*”. Jest to prawdą jedynie, jeśli słowo w słowo przestrzegać będziemy politycznie poprawnej terminologii z Wielkiej Encyklopedii Austriackiej. Prawdę powiedziawszy, *explicite* odróżniam to, co austriacy nazywają „przedsiębiorczym zyskiem” od zysku z kapitału jako takiego, choć sam nie czuję się zobligowany do ograniczania się do modnego żargonu.

Przyjrzyjmy się kolejnemu „błędowi” tego rodzaju:

Uważa on (...), że może istnieć coś takiego jak „wolnorynkowy socjalizm”, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest to sprzeczność sama w sobie, jeśli termin „socjalizm” oznacza, jak zwykle i jak przyjął tutaj autor, pozbawienie kapitalistów, przedsiębiorców, właścicieli ziemskich i innych ludzi z tego, co im prawnowicie przysługuje.

Używam terminu „socjalizm” w dokładnie takim samym znaczeniu, w jakim Benjamin Tucker użył go w swojej pracy „*Socjalizm państwowy i anarchizm*”, aby opisać wolny rynek, w którym kapitał i ziemia podlegają takim samym prawom konkurencji jak praca, bez narzuconych przez państwo przywilejów monopolu.

I znowu: „Wydaje się on nie rozumieć (...), że ‘monopol’ z definicji zakłada rządową ingerencję w wolne wejście do pewnej gałęzi przemysłu”. Biorąc pod uwagę, że wyraźnie mówię, że tak właśnie jest, tzn. że definiuję państwowy monopol pieniężny jako barierę w wejściu na rynek przemysłu bankowego i że w rozdziale szóstym w znacznym stopniu polegam na analizie regulowanej przepisami kartelizacji w wykonaniu Gabriela Kolko/Murraya Rothbarda, trudno odgadnąć, dlaczego Block wątpi w moje zrozumienie libertariańskich zasad. Szczególnie, że fakt, iż świadomie broni istniejących monopolii, wytworzonych przez państwowe przeszkody w wejściu na rynek, bowiem rzekomo „tak działa wolny rynek”, pokazuje, że bardziej prawdopodobne jest, iż to właśnie on cierpi na ich niezrozumienie.

Block zarzuca mi także przyjęcie „*mainstreamowego, neoklasycznego poglądu*” na monopol, zamiast „*prawidłowego poglądu austriackiego*”; innymi słowy, oceniam konkurencyjność gałęzi przemysłu na podstawie liczby firm w nim działających. Jednak gdy ktoś przeczyta rozdział szósty uważniej – co z całą pewnością nie jest udziałem Blocka – staje się jasne, że przyjmuję to stanowisko tylko w przypadku, kiedy liczba firm jest sztucznie zaniżona w wyniku działań państwa. Wierzę, że nawet Rothbard zasadniczo sprzeciwiłby się idei, jakoby ceny stały się sztywniejsze lub bardziej stabilne pod wpływem przewodnictwa cenowego lub innych form milczącej zмовy przy malejącej liczbie firm na rynku. Jednak dopóki brak jest jakichkolwiek przeszkód w wejściu na rynek czy rządowych ograniczeń konkurencji, nie zmienia to faktu, że ceny są w pełni konkurencyjne. Nie kwestionuję tego stanowiska. Z drugiej strony, kiedy konkurencja jest sztucznie ograniczona (patrz np. analiza Kolko skutków zasad „nieuczciwej konkurencji” ustanawianych przez FTC i Ustawy Clayтона oraz Rothbarda regulowanej kartelizacji) lub gdy liczba konkurentów jest sztucznie zaniżona w wyniku działalności państwa, myślę, że całkiem zasadnie można w takich warunkach mówić o „marży oligopolistycznej”.

Raz za razem, staram się najlepiej jak mogę, żeby jakoś zinterpretować recenzję Blocka tak, żeby nie poddawać w wątpliwość jego szczerości lub umiejętności czytania ze zrozumieniem. Miejscami jego rozumienia tekstu jest w oczywisty sposób tak kiepskie, że zdaje się sugerować, iż jego tępota jest tylko i wyłącznie pozą: innymi słowy – fałszem. Na przykład:

Nasz autor (...) z uznaniem cytuje Smitha (1776), według którego „prawdziwa cena produktu (...) czyli jego ‘realny koszt dla nabywcy’ to ‘wysiłek i praca włożona w jego nabycie’”. Przypuśćmy jednak, że wyszedłem sobie na spacer i spostrzegłem w wyłomie skalnym gigantyczny diament. Nie muszę nawet wkładać „pracy i wysiłku” w schylenie się i podniesienie go; znajduje się on dosłownie na wyciągnięcie ręki. Wystarczy, że go chwycę w dłoń. Wkład „wysiłku i pracy” praktycznie nie istnieje. A jednak ten kamień szlachetny wart jest miliony.

Jeśli potraktować ten fragment dosłownie, świadczy on o tym, że Block nie ma zielonego pojęcia o tym, co klasyczni ekonomiści polityczni w rzeczywistości myśleli, prócz tego, co wyciągnął z polemicznej literatury austriaków – lub przynajmniej nie chce lub nie potrafi zrozumieć tego, co chcieli przekazać. Trudno mi pojąć, jak ktoś po przeczytaniu

pierwszego rozdziału mojej książki, nie mówiąc już o samym „*Bogactwie Narodów*”, może nie uświadomić sobie, że cytat Smitha odnosi się wyłącznie do dóbr reprodukowalnych.

I – nie uwierzycie – Block obwinia *mnie* o zacieranie różnic pomiędzy „*korporacyjno-monopolistycznym kapitalizmem państwowym*” a leseferyzmem. A to mimo tego, że sam raz za razem przychodzi w sukurs korporacjom w obecnej faszystowskiej gospodarce, twierdząc, że korporacje nie mogą wykorzystywać pracowników lub dopuszczać się nieuczciwej konkurencji czy też oszukiwać konsumentów, ponieważ „*nie tak działa gospodarka rynkowa!*” Te dwa systemy, jak twierdzi Block, „*różnią się od siebie jak dzień od nocy. Nie mają ze sobą nic wspólnego*”. No i dokładnie, o to mi chodzi. Obecny system to albo jedno, albo drugie. Proszę dokonać wyboru, panie Block, i konsekwentnie trzymać się swojej decyzji, nie zaś skakać z jednego znaczenia na drugie, w zależności od tego, co bardziej pasuje do pro-korporacyjnej apologetyki. Co więcej, Block ma czelność oskarżać mnie o „*czynienie wszystkiego, co w mojej mocy, aby wprowadzić w tej materii jak najwięcej zamieszania*” i sugeruje, jakoby był winien „*rozmyślnego i celowego pomieszania tych dwóch pojęć*”. To niezwykle przykładowy przykład lustrzanego odbicia!

Rzekomym przykładem tego, że celowo wprowadzam czytelnika w błąd jest to, że bezstamt Misesa za jego obronę mrocznych, szatańskich młynów w Rewolucji Przemysłowej, które (jak mówi) pracownicy woleli od innych dostępnych alternatyw. Co z tego, że, jak szczegółowo wyjaśniłem, klasy zatrudniane były w większości przypadków w aktywnej zмовie z państwem, *określając* jakie to inne „alternatywy” są dostępne. Jednak Mises, widząc, bronił ich wyłącznie „jako pracodawców”!

Z kolei kradzież ziemi, którą opisuję w rozdziałach czwartym i piątym, jako główny czynnik w powstaniu i rozwoju historycznego kapitalizmu, stanowi „*nieodłączną część monopolu korporacyjnego opartego na monopolu państwa, nie jego leseferystycznej odmiany*”. Cóż, tak, to rzeczywiście wyjaśnia wszystko... Ach, być może poza tym: gdzie do tej pory istniał ów leseferystyczny kapitalizm, prócz być może pęknięć na obliczu istniejącego systemu kapitalizmu państwowego i tylko w stopniu, w jakim polityczni kapitaliści i właściciele tolerowali je? Przesłaniem wynikającym z moich rozdziałów poświęconych historii jest to, że kapitalizm, jako rzeczywiste zjawisko historyczne, nacechowany był etatyzmem od samego początku; jego fundamenty zostały „zapisane krwią i ogniem”, a jego nadal funkcjonujące właściwości strukturalne są nierozzerwalnie związane z etatyzmem. Jak radykalni Ricardianie, którzy jako pierwsi użyli terminu „kapitalizm” na początku dziewiętnastego wieku, postrzegam obecny system jako kapitalistyczny dokładnie w stopniu, w jakim różni się on od wolnego rynku lub leseferyzmu. I cała moja krytyka monopolu, wyzysku siły roboczej, imperializmu itd. dotyczy rzeczywistego systemu kapitalistycznego. „*Carson w wyjątkowo irytujący sposób wprowadza tutaj dodatkowy zamęt, mimo tego, że doskonale zna różnicę*”. To Block wprowadza dodatkowy zamęt; ale czy on w zna tę różnicę, to wie tylko on sam.

Podobnie, nie udaje mi się dostrzec różnic między tymi dwiema odmianami kapitalizmu w Rewolucji Przemysłowej.

Zapewne miały tutaj miejsce kradzieże nie tylko ziemi, ograniczenia oraz wyzysk. Ale właśnie z tych powodów nasz autor ignoruje całkowicie czynnik innowacji. Jasne, możemy adekwatnie rozpoznać przedsiębiorcę, który modernizuje gospodarkę i zatrudnia dzieci, które w przeciwnym wypadku umarłyby z głodu, nawet jeśli ta sama osoba winna jest naruszeniu libertariańskiego aksjomatu o nieagresji [sic].

Trudno mi uwierzyć, że ktokolwiek miałby potraktować to poważnie, nie mówiąc już o próbie odniesienia się do tego w jakiś sposób. „Jasne, możemy adekwatnie rozpoznać państwo, zapewniające kule kalece, który w przeciwnym razie by upadł, nawet jeśli to samo państwo uprzednio złamało mu nogi. Po prostu bronimy państwa jako dostawcy kul”. I to mnie Block nazywa schizofrenikiem, Jekylllem i Hydrem!

Myślę, że główna różnica pomiędzy nami sprowadza się do tego, na ile obecny system może być traktowany jako odpowiednik wolnego rynku. W mojej książce powiedziałem jasno, że uważam go za do cna etatystyczny i to od samego początku jego istnienia; czysto wolnorynkowe elementy istnieją w nim tylko w zakresie, w jakim leży to w interesie klasy rządzącej. Block, jak się okazuje, postrzega obecny system jako w miarę bliski wolnemu rynkowi, z kilkoma zaledwie etatystycznymi lukami, które komplikują jego wizję świata rządzonego przez McDonald's i Wal-Mart bez interwencji regulacji państwowych i związków zawodowych.

Jako przykłady mojego rzekomego „analfabetyzmu ekonomicznego”, Block przywołuje moją analizę zagadnienia „łamistrajków”, „dumpingu”, „zmów cenowych”, „przywództwa cenowego” itd. W każdym z powyższych przypadków krytykuję dane zagadnienie w kontekście systemu kapitalizmu państwowego (jak same tytuły rozdziałów powinny dać mu do zrozumienia). „Dumping”, na przykład, wspomniany jest w kontekście „zależnego od eksportu kapitalizmu monopolistycznego” Schumpetera – w podobny sposób, w jaki rothbardianin Joseph Stromberg używa go w swoim artykule „*The Role of State Monopoly Capitalism in the American Empire*” (2001, str. 57-93).

Kolejnym przykładem, według Blocka, mojego analfabetyzmu ekonomicznego jest następujący fragment: „*Demobilizacja gospodarki wojennej po roku 1945 niemalże wpędziła nadmiernie rozbudowany i uzależniony od państwa sektor przemysłowy w nową depresję*”. I tutaj ponownie radzę przeczytać artykuł Stromberga, w którym można znaleźć przychylnie spojrzenia na tezę o nadakumulacji/podkonsumpcji. Jak pokazuje Stromberg, analizy dokonane przez J. A. Hobsona i grupę „Monthly Review” dość zasadnie odnoszą się do państwowego kapitalizmu monopolistycznego. Odnośnie moich rozważań dotyczących zysku monopolistycznego jako wyciągniętego od konsumentów, Block odpowiada:

Jest to oczywiście dość rozsądne podejście w przypadku monopolu występującego w kapitalizmie korporacyjno-monopolistycznym; tutaj niektóre firmy nie mają wstępu, zaś te uprzywilejowane mogą z pewnością wykorzystywać konsumentów. Jak jednak, do jasnej Anielki, może to mieć miejsce w kapitalizmie leseferystycznym?

Yyy, panie Block? Wystarczy przeczytać tytuł rozdziału szóstego, z którego pochodzi następujący cytat: „Powstanie kapitalizmu monopolistycznego”.

Jako ostateczny przykład mojego analfabetyzmu ekonomicznego, Block przywołuje moją analizę dużych firm, które działają znacznie powyżej poziomu optymalnej efektywności, znacznie powyżej punktu, w którym ekonomia skali się stabilizuje.

Zdaniem naszego autora (...) im większe, tym gorsze. Jednak tylko rynek może określić, kiedy duże jest rzeczywiście za duże. I jeśli firma przekroczy tę granicę, jakakolwiek by ona nie była, siły rynkowe szybko ściągną jej cugle. Firmy takie jak Microsoft, Wal-Mart, Coca-Cola i McDonald's są doprawdy gigantyczne. Czy oznacza to, że są zbyt duże? Ależ skąd. Gdyby tak było, to dołożyłyby one wszelkich starań, aby się zmniejszyć.

Cóż, jednak myślę, że mamy do czynienia z pewną formą analfabetyzmu. Jakim sposobem udało mu się wysnuć takie wnioski po przeczytaniu samego tekstu, przechodzi moje pojęcie. Istotnie, wywraca on moje stanowisko do góry nogami. Nie uważam, żeby jakikolwiek rodzaj interwencji czy to ze strony państwa, czy jakiegokolwiek innej przymusowej organizacji był niezbędny, aby narzucić ograniczenia odnośnie wielkości. Jak mówi Block, jest to zadanie wolnego rynku; jednak w przeciwieństwie do Blocka, myślę że opis funkcjonowania wolnego rynku wymaga trybu przypuszczającego, nie oznajmującego. Wal-Mart, McDonald's itd. rzeczywiście byłyby na najlepszej drodze do zmniejszenia swoich rozmiarów na wolnym rynku. Czy Block naprawdę twierdzi, że obecnie działają one na wolnym rynku? Jeśli tak, to z radością powinien wycofać, przepraszając, jego oskarżenia, jakobym zamazywał różnicę pomiędzy leseferyzmem a kapitalizmem państwowym. W omawianym fragmencie stwierdzam, że obecny rozmiar większości (jeśli nie wszystkich) wielkich korporacji odzwierciedla *istniejącą* interwencję państwa w gospodarkę, bądź poprzez kartelizację przemysłu przy pomocy przepisów prawnych, bądź dotując akumulację, bądź też uzewnętrzniając koszty nieefektywności przy swoich rozmiarach. Twierdzę, że wielkość McDonald's i innych odzwierciedla naturę systemu kapitalizmu państwowego oraz że prawdziwie wolny rynek *rozbiłby* je na dużo mniejsze, o wiele bardziej wydajne firmy. Raz jeszcze, jako wulgarny libertarianin, Block zdaje się z minuty na minutę zapominać, czego tak naprawdę broni.

Jednak, ku mojemu zaskoczeniu, w chwilę później stwierdza: „*Trudno też dostrzec jak obecnie państwo je wspiera*”. I właśnie, jeśli przyjmuje on, że takie jest moje stanowisko – że korporacje są w stanie rozrastać się poza punkt maksymalnej efektywności, ponieważ wspiera je państwo – to jego poprzednie insynuacje, jakobym chciał, aby „siły zewnętrzne” narzucały maksymalną wielkość firm, muszą być czystym fałszem. Albo to, albo z minuty na minutę zapomina on, co właśnie napisał. Jeśli chodzi o niezliczone sposoby, w jakie rząd je wspiera – bez względu na to, czy Block jest w stanie dostrzec czy nie – opisuję je szczegółowo w rozdziale szóstym.

Riposta do George'a Reismana

W przeciwieństwie do Waltera Blocka, Reisman jest zbyt wyćwiczony, żeby chociaż spróbować zdobyć się na najmniejszy przejaw poczucia humoru lub aby uznać, *pro forma*, mój pełen dobrej woli wysiłek włożony w napisanie książki. Chce krwi. Jak ostrzegł mnie wcześniej mój wydawca, recenzje wahają się od „musimy oświecić naszego pełnego dobrej woli i niejednokrotnie przenikliwego, choć mylącego się w kluczowych sprawach, towarzysza” po „zabić komucha!”. Reisman, jak się przekonałem, zakotwiczył się na prawym końcu tego spektrum.

Sam tytuł recenzji Reismana to błąd niedostatecznego uzasadnienia. Cały pierwszy akapit pozostaje w tym duchu. Reisman twierdzi bowiem, że moja książka „*oparta jest na niewiarygodnej tezie, sprzecznej wewnątrznie, że kapitalizm, w tym także kapitalizm leseferystyczny, to system oparty na interwencji państwa, naruszającej zasady wolnorynkowe*”. Przy okazji: jeśli wtrącenie Reismana, „*w tym także kapitalizm leseferystyczny*” w ogóle cokolwiek znaczy, to implikuje, że Reisman uznaje jakiegokolwiek twierdzenie o państwowej interwencji nawet w nie-leseferystycznym kapitalizmie za niewiarygodne i wewnątrznie sprzeczne.

Celowo postanowiłem przywołać oryginalne, Hodgskinowskie znaczenie terminu „kapitalizm” z tego samego powodu, z jakiego niektórzy dwudziestowieczni obrońcy wolnego rynku zdecydowali się nadać mu boskie znaczenie: żeby coś udowodnić. Termin „kapitalizm”, w pierwotnym znaczeniu, nie odnosił się do wolnego rynku, a do etatystycznego systemu klasowego, w którym kapitałści kontrolowali państwo, a państwo interweniowało w gospodarkę w ich imieniu. Wciąż jest on używany w tym znaczeniu przez niektórych wybitnych libertarian, np. R.A. Wilsona:

WOLNY RYNEK: Stan społeczeństwa, w którym wszystkie transakcje ekonomiczne oparte są na wolnym wyborze zainteresowanych.

PAŃSTWO: Instytucja, która ingeruje w Wolny Rynek za pomocą bezpośredniego nacisku lub przywilejów (za którymi stoi przymus).

PRZYWILEJ: Od łacińskiego *privi*, prywatny, i *lege*, prawo. Przewaga nadana przez Państwo i chroniona przez jego siłę przymusu. Prawo nadawane dla prywatnych korzyści.

LICHWA: Forma przywileju lub ingerencji w Wolny Rynek, w której jedna wspierana przez Państwo grupa monopolizuje bicie monety i tym samym pobiera haracz (odsetki), bezpośredni lub pośredni, od wszystkich lub większości transakcji ekonomicznych.

LANDLORDYZM: Forma przywileju lub ingerencji w Wolny Rynek, w której jedna wspierana przez Państwo grupa „posiada” ziemię i tym samym pobiera haracz (czynsz) od tych, którzy mieszkają, pracują bądź prowadzą działalność wytwórczą na tej ziemi.

KAPITALIZM: Sposób organizacji społeczeństwa łączący w sobie elementy podatku, lichwy, landlordyzmu i systemu celnego, który tym samym wyklucza

istnienie Wolnego Rynku, udając jednocześnie, że jest jego egzemplifikacją. (Shea i Wilson 1975, str. 622-23)

Jak wyjaśniłem w mojej książce tymi właśnie słowami, odróżniam „kapitalizm” od „wolnego rynku” dokładnie w stopniu, w jakim *nie* jest on „leseferyzmem”. Chodzi o to, że „kapitalizm laissez-faire”, z historycznego punktu widzenia, stanowi oksymoron. „Rzeczywiście istniejący kapitalizm” od zawsze charakteryzował się wszechobecną państwową interwencją. Jak Benjamin Tucker w swoim tekście „*State Socialism and Anarchism*” („*Socjalizm państwowy i anarchizm*”), dążę do likwidacji kapitalizmu za pomocą leseferyzmu i wolnego rynku.

Nie zamierzam spierać się z tymi, którzy celowo używają terminu „kapitalizm leseferyzyczny”, odróżniając go od „rzeczywiście istniejącego kapitalizmu”. Wielu anarcho-kapitalistów, swoją drogą, nie ma żadnych problemów z moją terminologią, pod warunkiem, że obie strony dostrzegają różne rozumienia tego terminu. Polecam wpis Chrisa Sciabarry na jego blogu, pt. „*Capitalism: The Known Reality*” (Sciabarra 2005, Notablog), gdzie autor przedstawia zniuansowaną naturę wyrazu „kapitalizm”. Będę jednak sprzeciwiać się historycznym analfabetom, którzy tak ugrzęźli w chwilowym prowincjonalizmie, że nie zdają sobie sprawy z tego, że terminy mają historię. Reisman ewidentnie zalicza się do tych ostatnich, wyśmiewając „anarchizm indywidualistyczny” (tak jakbym to ja był twórcą tego terminu) i określając laborystyczną teorię wartości mianem doktryny „marksistowskiej”.

Reisman odnosi się do mnie niemal na każdej stronie swojej recenzji mianem „marksisty” do takiego stopnia, że wydaje się to już nie tyle nudne, co wymuszone. Prawdopodobnie wychodzi on z założenia, że wielokrotne powtórzenie sprawi, że kłamstwo odniesie swój skutek; jednak jedyne, co tak naprawdę osiągnął, to uwidocznienie swojej własnej historycznej ignorancji.

Reisman oskarża mnie o zafałszowanie laborystycznej teorii wartości Ricardo, gdyż rzekomo ignoruję to, iż postrzegał on czas i stopę zysku jako czynniki komplikujące. Jestem, jak mówi, „absolutystą” teorii laborystycznej, jak Marks, dla którego „*źródłem wartości wymiennej jest wyłącznie ilość pracy włożonej w produkcję*”. Przede wszystkim, istnieje dosyć sporo „absolutystów” teorii laborystycznej w rozumieniu Reismana. Biorąc pod uwagę znaczenie ogólnej stopy zysku oraz związany z nią problem transformacji w ekonomii marksistowskiej, powinno być oczywiste, że stopa zysku komplikuje sprawy dla Marksa tak samo, jak dla Ricarda. I przeświadczenie Ricarda, że zysk był odejmowany od wartości pracy, zostało podchwycone przez szkołę ricardiańskich socjalistów, którzy wyciągnęli radykalne wnioski z jego ekonomii na długo przed pojawieniem się Marksa. Jak sam Reisman później stwierdza,

Carson, jak wszyscy marksiści, i, co należy dodać, jak niemal wszyscy ekonomiści ze wszystkich szkół, włączając w to Böhm-Bawerka, podąża śladem Adama Smitha, widząc zysk jako wartość odejmowaną od tego, co w przeciwnym razie byłoby płacą.

W każdym razie, jako że nie tylko odróżniam zysk przedsiębiorczy i premię za ryzyko od zysku z kapitału jako takiego, ale również poświęciłem cały rozdział preferencji czasowej, nazywanie mnie „absolutystą” teorii laborystycznej jest cokolwiek przesadne.

Odnosząc się do mojej analizy monopolu ziemskiego, Reisman ponownie popełnia błąd niedostatecznego uzasadnienia:

Jeśli ja, prawowity właściciel ziemi, decyduję się odnajmować ją lokatorowi, który zgadza się płacić czynsz, nieruchomości ta, zdaniem Carsona, staje się własnością lokatora i moje próby pobrania ustalonego za obopólną zgodą czynszu postrzegane są jako brutalne naruszenie jego [lokatora] „absolutnego prawa własności”. Co za tym idzie, Carson postrzega jako interwencję państwa ochronę przez owo państwo praw właściciela ziemskiego przed złodziejem. Wierzy on, że ma prawo zabronić mi i lokatorowi zawierania wiążącej umowy określającej płacenie czynszu i że takie działanie w żaden sposób nie jest pogwałceniem naszej wolności do zawierania umów i państwową interwencją.

Ponieważ zasady ustalenia „prawowitego właściciela ziemi” wbrew „złodziejowi” stanowią obiekt niezgody pomiędzy doktrynami własności Locke’a i Ingallsa-Tuckera, nie wystarczy, jak czyni Reisman, założyć z góry odpowiedź. Krytyka Reimana ma sens jedynie, jeśli uznamy zasady własności Locke’a za oczywiste. W przeciwieństwie do Longa, który przedsięwziął wysiłek, aby uzasadnić swój punkt widzenia, Reisman po prostu przyjmuje to za pewnik. Kto jest inicjatorem przemocy, a kto obrońcą zależy od tego, jak odpowiemy na powyższe pytanie dotyczące zasad nabycia własności. Egzekwowanie *jakichkolwiek* praw własności, niezależnie czy opartych na standardzie Locke’a, Ingallsa-Tuckera, czy georgistów zależy od lokalnego konsensusu odnośnie tego, co stanowi prawomocną podstawę własności. I egzekwowanie *jakiegokolwiek* zbioru takich zasad przez lokalną społeczność będzie postrzegane jako uprawniona samoobrona przez zwolenników tego reżimu praw własności i jako akt agresji przez zwolenników przeciwstawnych filozofii.

Reisman popełnia ten sam błąd, co Rothbard, opisując system bankowości mutualistycznej Greene’a-Tuckera jako system łatwego pieniądza. Celem banków mutualistycznych nie jest „nieograniczona ekspansja kredytowa”, ale eliminacja przeszkód w wejściu na rynek kredytowy, które pozwalają uprzywilejowanym pożyczkodawcom przyznawać pożyczki zabezpieczone po monopolistycznych cenach. W rzeczywistości, Reisman posuwa się nawet do stwierdzenia, że jestem „całkowicie nieświadomy” tego argumentu wysuniętego przez Rothbarda w jego artykule o doktrynie Spoonera-Tuckera. Nieświadomy czy tylko nieprzekonany? Reisman, jak Block, przypomina mi tych piewców teorii laborystycznej, którzy sprowokowali gniew Böhm-Bawerka. On, tak jak oni, serwuje odwołaniami do autorytetów zamiast argumentami.

Następnie, Reisman wdaje się w obszerne rozważania, dlaczego uznaje kapitalistyczną własność i pracę najemną jako jedyny możliwy sposób organizacji produkcji wielkoskalowej. Choć niektóre formy produkcji wymagają „zgrupowania znacznej ilości dóbr kapitałowych i obecności znacznej liczby robotników” i „nie mogą zostać przeprowadzone przez indywidualnych robotników, z których każdy pożytkowałby własne środki produkcji”, nie wynika z tego, że

kapitalistyczna własność i praca najemna są *jedynym sposobem*, w który praca i środki produkcji mogą zostać zagregowane. Reisman sprzeciwia się mojemu odrzuceniu „konieczności oddzielenia pracowników od własności dóbr kapitałowych, z których korzystają w swojej pracy”; nie tylko ją odrzucam, ale w swoim uporze „[w]ięcej niż raz(...) [przedstawiam] taki rozdział jako całkowicie zbędny”.

Czy w takim razie powinniśmy rozumieć, że Reisman postrzega rozdział pracy najemnej od własności środków produkcji jako „konieczność” dla wielkoskalowej produkcji? Jeśli tak, nie jest do końca jasne, jakie są przyczyny takiej konieczności. Co więcej, wydaje się zakładać, nie przedstawiając żadnego dowodu, że jedyną alternatywą dla przedsiębiorstw kapitalistycznych jest chałupnictwo i praca rzemieślnicza.

Ten temat wiąże się z innym: moja „naiwność” to podobno nic innego jak tęsknota za chałupnictwem i pracą rzemieślniczą. Wygląda na to, że *muszę* przyznać Reismanowi rację, czy chcę czy nie, że praca rzemieślnicza to jedyna realna forma, która łączy własność producenta z kontrolą nad produkcją. Choć wyjaśniłem, że system produkcji fabrycznej zastąpił przemysł chałupniczy częściowo z przyczyn innych niż techniczna wydajność, nigdy nie twierdziłem, że masowa produkcja jest zbędna w każdych okolicznościach. Jednak to, co tak naprawdę napisałem, w żaden sposób nie stanie na drodze Reismanowi w zaszklaniu mnie jako romantycznego mediewisty.

Praktycznie każdą moją wypowiedź o rewolucji przemysłowej wplata do swojego motywu przewodniego: moje cytaty z Kirpatricka Sale’a i Stevena Marglina, na przykład, dowodzą mojej patologicznej nostalgii do świata Williama Morrisa. Tym samym Reisman odrzuca jako „bajeczkę” argumenty Sale odnoszące się do prawnych ograniczeń narzędzi przemysłu chałupniczego – nie biorąc, oczywiście, w najmniejszym stopniu pod uwagę tego, czy takie prawa rzeczywiście istniały. „Carson i Sale” – zauważa – „nigdy zdaje się nie słyszeli o czymś takim jak luddyci i późniejsze ataki na maszyny w 1826 r., przy czym oba miały swoje źródło w tym, że producenci chałupniczy nie byli w stanie podoląć konkurencji ze strony fabryk”. Cóż, z pewnością jest to interesujące spostrzeżenie, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Sale napisał książkę o luddystach (Sale 1995). W każdym razie, pytanie nie brzmi, czy wytwórcy chałupniczy mogli „podoląć konkurencji ze strony fabryk”, ale jaka była natura tejże konkurencji – państwowa czy rynkowa. W końcu trudno jest konkurować z Ojcem Chrześnym.

Reisman wnosi zastrzeżenia do twierdzenia Stephena Marglina (w „What Do Bosses Do?”, 1974), jakoby większa wydajność była wynikiem nie podziału pracy jako takiej, ale podziału zadań. Marglin stoi na stanowisku, że wytwórca chałupniczy mógłby osiągnąć większą wydajność, porównywalną do tej w fabryce szpilek Adama Smitha, poprzez zwykły rozdział i sekwencjonowanie zadań: najpierw wyciąganie całego drutu, potem cięcie całej partii, następnie ostrzenie itd. „Antydowód” Reimana?

Zwykle nie będzie miało to [oszczędność czasu w wyniku podziału pracy] miejsca w przypadku jednostki usiłującej wykonać samodzielnie wszystkie kroki związane z wytworzeniem produktu. Na przykład kiedy składam, dajmy na to, stół na mój prywatny użytek (...) to prawie zawsze składał będę tylko jeden taki stół i z całą pewnością marnotrawić będę swój wysiłek, jako

że będę musiał wielokrotnie przechodzić od jednej operacji do drugiej. (...) W takim przypadku nie byłoby miejsca na „sekwencjonowanie” w rozumieniu Carsona. Gdybym chciał wyprodukować szpilki na własny użytek, potrzebowałbym jedynie relatywnie niewielkiej ich liczby, a tym samym zakres sekwencjonowania w rozumieniu Carsona byłby bardzo ograniczony, a zatem niewiele zmniejszyłaby się strata energii spowodowana przejściem od jednego zadania do drugiego.

Marglin odnosił się do chałupniczej produkcji szpilek na potrzeby rynku, w którym serie produkcyjne byłyby wystarczająco duże, aby pozwolić na rozdział i sekwencjonowanie zadań. Aby dowieść niepraktyczności tej metody, Reisman podaje przykłady składania jednego stołu i paru szpilek – w obu przypadkach na własny użytek. Jak widać nie pojmuje on różnicy między produkcją chałupniczą dla rynku towarowego a produkcją na potrzeby gospodarstwa domowego.

Sprawy mają się zupełnie inaczej tylko wtedy, gdy podział pracy został przeprowadzony w takim stopniu, że ma miejsce regularna produkcja dużych ilości danego dobra na potrzeby rynku. Dopiero w takim wypadku możliwe jest w pełnym zakresie sekwencjonowanie w rozumieniu Carsona, a sam sposób zaoszczędzi wiele utraconego wysiłku w porównaniu z sytuacją, gdy pojedyncza osoba wykonuje wszystkie kolejne kroki w jeden za drugim.

Nie do wiary! Innymi słowy, sprawdziłoby się to „tylko” w *takich warunkach, jakie ja sam opisywałem*.

Jednak, jak właśnie zwróciłem uwagę, samo istnienie takiej możliwości z góry zakłada daleko idący podział pracy. Pozostaje tylko pytanie, czy opłaca się posuwać dalej w podziale pracy, w ramach produkcji jednej sfery: tj. zastąpić dalej posunięty podział pracy w produkcji fabrycznej mniej zaawansowanym podziałem pracy związanym z produkcją chałupniczą.

Niestety, dla Carsona i Marglina, opłacalność ta jest oczywista. (...) Opłaca się to, ponieważ – przy braku innych powodów – produkcja fabryczna jest o wiele bardziej efektywna, jeśli chodzi o wykorzystanie dóbr kapitałowych, a więc również pracy niezbędnej do ich produkcji, aniżeli produkcja chałupnicza. Unika ona ogromnych strat w postaci niepotrzebnej duplikacji wyposażenia i nieużywanych zapasów, które to zjawiska wystąpiłyby w produkcji chałupniczej.

Możliwa, tak, ale nie „oczywista”. Jak już zwróciłem uwagę, nigdy nie twierdziłem, że produkcja fabryczna *nigdy* nie była bardziej efektywna od chałupnictwa – a jedynie że wzrost technicznej efektywności w niezadowalającym stopniu, same przez się, tłumaczą skalę „przewagi konkurencyjnej”, o której pisze Reisman, nie przechylając szali na korzyść fabryk.

Jeśli zaś chodzi o skalę produkcji konieczną do pełnego wykorzystania dóbr kapitałowych, to jest to podręcznikowa definicja wewnętrznej ekonomii skali. Jednak poziom produkcji, przy którym jest ona osiągana, jest kwestią empiryczną, a więc różni się w zależności od rodzaju przemysłu. Wykluczenie przez Reismana *a priori* produkcji domowej jest zatem bezzasadne. Na dodatek, ten wielki fantasta, Kirkpatrick Sale, poświęca znaczną część swojej książki „*Human Scale*” (1980) na szczegółowe, techniczne rozważenie tego, czy małe fabryki, wykorzystujące wielofunkcyjną maszyneryję produkcyjną, mogłyby służyć rynkom lokalnym o liczebności kilkudziesięciu tysięcy ludzi przy co najwyżej niewielkim wzroście jednostkowych kosztów produkcji.

Nie zapominajmy też, że ekonomie skali to tylko jedna strona medalu. Istnieją także dysekonomie skali. Występują wzrastające wewnętrzne koszty transakcyjne oraz zmniejszenie efektywności w wyniku dodania kolejnych warstw biurokracji, o których pisał Oliver Williamson (1985). Mamy wewnętrzny charakter korporacji jako gospodarki planowanej, w której wewnętrzna wycena czynników oddzielana jest w jeszcze większym stopniu od zewnętrznych cen rynkowych w miarę jej rozwoju. Istnieje irracjonalizm związany z coraz większą trudnością ustalania kosztów i zysków płynących z każdego, pojedynczego działania, przez co bodźce administracyjne muszą zastąpić bodźce rynkowe w stosunkach z personelem (w połączeniu, oczywiście, z wszelkiego rodzaju pokusą nadużycia). Co prawdopodobnie najważniejsze, funkcjonują koszty dystrybucji na duże odległości. Jak zauważył Ralph Borsodi dziesiątki lat temu, zwiększone koszty dystrybucji równoważą ekonomie skali przy stosunkowo niskich poziomach produkcji. I dalej, jak pokazał Barry Stein w „*Size, Efficiency, and Community Enterprise*” (1974), fabryka może funkcjonować znacznie poniżej maksymalnej ekonomii skali (prawdopodobnie tylko jednej trzeciej optymalnej produkcji) przy zaledwie 5-cio lub 10-cio procentowym wzroście kosztu jednostkowego, który jest więcej niż równoważony przez zredukowany koszt dystrybucji.

Tak więc, analizując jednocześnie prace Sale’a, Borsodiego i Steina odkrywamy, że zdecentralizowana gospodarka oparta o zróżnicowaną produkcję na niewielką skalę dla potrzeb lokalnych jest całkiem możliwa przy niewielkim lub zerowym spadku ogólnej efektywności. I to bez państwowych dopłat do transportu dalekobieżnego oraz wielu innych dysekonomii skali; jest więc to kierunek, w którym najprawdopodobniej zmierzałby wolny rynek. Co więcej, skromne rozmiary fabryk konieczne dla takich lokalnych rynków świetnie mieściłyby się w zakresie spółdzielni pracowniczych, które Reisman uważa za tak niedorzeczne.

Reisman sztydzi ze mnie także za, jak to określa, „*przedkładanie łopaty ponad pług*”. Cóż, czy się to Reismanowi podoba, czy nie, produktywność upraw grządkowych przy użyciu szpadla jest wyższa, jeśli chodzi o produktywność na akr niż w przypadku rolnictwa zmechanizowanego, przynajmniej w przypadku uprawy warzyw. Zobacz np. „*The Myth of Agricultural Efficiency*” (1997) autorstwa Michaela Perelmana. Z kolei biointensywne techniki rolne Johna Jeavonsa są, w porównaniu ze „szpadlowym” ogrodnictwem, o którym pisze Perelman, jak Ferrari w porównaniu ze Stanleyem Steamerem. Uprawa na grządkach wymaga większych nakładów pracy; jednakże zmechanizowany agrobiznes, mając preferencyjny dostęp do dużych połąci ziemi, woli oszczędzać na pracogodzinach, a nie na po-

wierzchni. Z drugiej zaś strony, nieszczęśni żebracy na ulicach miast Trzeciego Świata bez wątpienia woleliby taką pracochłonną uprawę ziemi, której zostali pozbawieni, od swojego obecnego losu. Ponadto, jakkolwiek nielogiczne wyda się to Reismanowi, korzyści wynikające z korzystania ze zmechanizowanego rolnictwa i przetwarzania żywności nie są aż tak duże nawet w porównaniu ze zwykłymi metodami wykorzystywanymi przez przeciętnego podwórkowego ogrodnika. Borsodi przeprowadził dokładną analizę wszystkich kosztów (włączając w to czas pracy i materiały) związanych z hodowlą i puszgowaniem warzyw w domu i doszedł do wniosku, że bardziej opłaca się hodować własne. Jak już powiedziałem, zwiększone koszty ogólne i koszty dystrybucji produkcji na dużą skalę równoważą wiele korzyści, którymi Reisman jest tak oczarowany.

Reisman odrzuca również to, że

aby sprawić, żeby rolnicy produkujący na własne potrzeby zarabiali, najpierw należałoby narzucić na nich podatki pieniężne, tak jakby dobra, których potrzebują, a których nie są w stanie sami wyprodukować, nie stanowiły wystarczającej zachęty.

Straw man. Nie powiedziałem, że *żadni* rolnicy nie będą chcieli partycypować w gospodarce pieniężnej, jeśli nie narzuci się na nich podatków – a jedynie, że polityka państwowa zmusiła ich do tego na większą skalę, niż miałyby to miejsce w przeciwnym razie. A może Reisman nie wierzy, aby podatki państwowe miały jakikolwiek wpływ na zachowanie – dziwne stanowisko jak na libertarianina. I znów, czy się to Reismanowi podoba, czy nie, motywacją władz brytyjskich do narzucenia podatku pogłównego w Afryce Wschodniej i wielu innych koloniach było właśnie to: zmuszenie rolników produkujących na własny użytek do wejścia na rynek pracy najemnej. I ci wstrętnei marksści, klasy posiadające uprzemysłowionej Anglii, dość szczerze przekazali nam swoją ocenę sytuacji. Książki napisane w tamtym czasie pełne są oświadczeń ziemiaństwa, że obostrzenia te były konieczne, aby zmusić robotników do pracy za cokolwiek im się zaoferowało, ponieważ niemożliwe jest narzucenie odpowiedniej dyscypliny człowiekowi, który nie jest pozbawiony środków do życia. Panu Reismanowi nie zaszkodziłoby przeczytanie prac E.G. Wakefielda (1969 i 1834), który opowiadał się za ograniczeniem dostępu kolonistów do wolnej ziemi; jako powód podawał, że niemożliwe jest osiągnięcie pożądaných zysków z pracy, jeśli pracownicy mieliby niezależny dostęp do taniej ziemi.

Narzekałem, że Reisman nigdy nie pokusił się na odpowiedź na pytanie, dlaczego kapitał nie mógłby zostać zagregowany na potrzeby produkcji wielkoskalowej przez samych pracowników w warunkach wolnego rynku, w którym klasy produkujące nie zostały ograniczone ze swoich środków produkcji, a państwo nie zapobiegło łączeniu się pracowników w związki. Jednak na swój sposób dostarcza on wyjaśnienia w odpowiedzi na ten mój niezwykle obraźliwy paragraf:

Dlaczego cechy rzemieślnicze nie mogły funkcjonować jako środek mobilizacji kapitału dla produkcji wielkoskalowej i kooperacji? Dlaczego chłopcy w wiosce

nie mogli współpracować ze sobą w kupnie i użytku zmechanizowanych narzędzi rolniczych? Być może dlatego, że, przy nieobecności „progresywnej” klasy rządzącej, nie mogli wpaść na ten pomysł. Albo tak po prostu.

Wzburzony Reisman oskarża mnie o wielką zbrodnię, polegającą na „przypisywaniu przeciętnej osobie zdolności niezależnej myśli i osądu, która jest udziałem tylko nielicznych”. I jeszcze: „Carson po prostu nie zdaje sobie sprawy z tego, że innowacja to produkt wybitnych, zaangażowanych jednostek, które muszą przezwyciężyć brak zrozumienia i tępotę większości swoich współpracowników, a często także ich wrogość”.

Cóż! To by było na tyle, jeśli chodzi o twierdzenie Karla Hessa, że „libertarianizm to ruch ludzi”! Hmm, czy przypadkiem Reisman nie powinien malować graffiti na kominkach lub wysadzać kopalni miedzi w powietrze czy zajmować się czymś podobnym?

W świetle tego, tym dziwniejsze wydaje się to, że Reisman podaje ten akapit jako dowód na mój „kolektywizm”, gdyż skrytykowałem w nim *marksistowski* dogmat, według którego historyczny kapitalizm to konieczna „postępowa” siła, która przewycięża zacofane, drobnomieszczańskie instynkty chłopów i rzemieślników, zapędzając ich do fabryk jak bydło. W jego odach ku ekonomii skali i centralizacji, o konieczności jednoosobowego zarządu itd., on sam brzmi nieco jak Fryderyk Engels. Widocznie więc jest on bardziej wyrozumiały dla kolektywistów niż ja sam; a w duchu jest zapewne galbraithiańskim technokratą. Być może ironia obca jest Reismanowi, który z taką lubością nazywa mnie „marksistą”; jednak dla mnie jest przewyborna.

Reisman uparcie powtarza, że gospodarka prostego obiegu i pracujących na własny rachunek rzemieślników byłaby „gospodarką ogromnej nędzy”. Jak marksista, zaprzecza, jakoby gromadzenie surowców czy też akumulacja kapitału mogły mieć miejsce poza systemem pracy najemnej – pozbawiającym siłę roboczą własności. Jednak nie podaje on żadnych dowodów na poparcie tej tezy, oprócz założenia *a priori*, że innowacja to wyłączna działka kwadrato-szczękich Übermenschów o wyrazistych kościach policzkowych, palących jednego papierosa za drugim i zamieszkujących Wąwóz Galta.

Jeśli chodzi o zagadnienie innowacji, Reisman powinien przeczytać wspomnianą wyżej pracę „*Size, Efficiency, and Community Enterprise*” Stein’a. Stein odkrył, że ogromna większość zwiększających produktywność innowacyjnych rozwiązań wymaga zaprowadzenia przyrostowych zmian w procesie pracy i że wzrost produktywności był głównie efektem zbiorczym takich przyrostowych zmian. I zgadnijcie co? Ludzie bezpośrednio zaangażowani w proces pracy mają największą szansę zauważyć, w jaki sposób można by je usprawnić. Z własnego doświadczenia wiem, że głównym powodem, dla którego pewne rzeczy robi się tak irracjonalnie w dużych organizacjach jest to, że ci, którzy mają najlepszą bezpośrednią wiedzę na temat tego, co jest nie tak, mają najmniejsze możliwości naprawienia tego – kolejny przykład niedostatecznej internalizacji konsekwencji działań w hierarchii. Najmniejsza zmiana musi trafić do „pudełka sugestii” i przebrnąć przez siedemnaście poziomów zarządu; jeśli jeszcze kiedykolwiek się pojawi, to powraca odgórnie w ledwie rozpoznawalnej formie, niczym ukaz z sowieckiego ministerstwa przemysłu. Prace traktujące o samorządzie pracowniczym pełne są niezliczonych badań i masy analiz opisujących

wzrost produktywności w tym systemie. Może Reisman mógłby darować sobie ponowną lekturę „Atlasu Zbuntowanego” i rzucić na nie okiem.

Reismanowi nie podoba się również mój opis wydarzeń historycznych okresu wczesnej nowożytności, w których to nowe, absolutne państwa Europy Zachodniej przy pomocy prochu podbijały swoje własne terytoria i zniszczyły wolne miasta, ograniczając rozwój intelektualnych i technologicznych innowacji późnego średniowiecza. Czy Reismanowi podoba się to, czy nie, renesans opierał się na wcześniejszych osiągnięciach kulturowych wolnych miast i klasztorów trzynasto- i czternastowiecznych; a techniczne podwaliny pod produkcję parową zostały położone właśnie przez tę cywilizację. Znaczna część podręcznikowej rewolucji przemysłowej sprowadzała się do ponownego odkrywania koła lub stanowiła po prostu powrót do wcześniejszych rozwiązań po dość długiej przerwie. W tym temacie polecić mogę „*The Medieval Machine: The Industrial Revolution of the Middle Ages*” (1977) Jeana Gimpela.

Reisman opisuje późne średniowiecze, a także „średniowiecze w ogóle” jako „erę, w której rządziły strach i przesąd” oraz „charakteryzującą się takimi zjawiskami jak głód, zaraza, lochy i sale tortur, palenie na stosach i okresowe wybuchy masowej psychozy”. Litości! Jakże się cieszę, że żadne z powyższych nie miały miejsca we wczesnej epoce nowożytnej! Lochy i sale tortur związane były z państwami przez cały okres ich historii, a ograniczał je wyłącznie zasięg władzy państwa. A biorąc pod uwagę potęgę nowych monarchów absolutnych (znacząco przewyższającą jej średniowieczny odpowiednik), wątpię, aby wieki średnie w jakikolwiek sposób miały pod tym względem przewagę nad Henrykiem VIII czy Ludwikiem XIV. Jedną z cnót wolnych miast, funkcjonujących przed nastaniem absolutyzmu, jest to, że w większości przypadków znajdowały się one znacznie poza sferą wpływów państwa. Obraz średniowiecza nakreślony przez Reimana to nic innego, jak karykaturalna parodia.

Lekceważący stosunek Reimana do średniowiecza odbiega z pewnością od stanowiska Rothbarda – zobacz w szczególności jego pogardę dla scholastyków (1998, str. 6). Rothbard z kolei poświęcił im ponad sto stron w swoim traktacie o historii myśli ekonomicznej i gdzie indziej określił ich mianem „niezwykłych i przewidujących ekonomistów” (Rothbard 1995, rozdz. 2-4 i 1997, str. 174).

Reisman ma również problem z pierwotną akumulacją. Wyśmiewa oppenheimerowską tezę o politycznym zawłaszczeniu ziemi, zaprzeczając nie tylko, jakoby miało ono jakikolwiek wpływ na możliwe do zaakceptowania przez pracowników płace, ale również próbując zminimalizować stopień, w jakim taka kradzież ziemi miała miejsce.

Jednak nie musi on sięgać dalej niż do tego starego „marksisty” Rothbarda (będącego pod sporym wpływem Oppenheimera), w którego dziełach można znaleźć możliwie najbardziej radykalne podejście do tej kwestii. Rothbard uważał, że sztuczny niedobór ziemi powoduje wzrost krańcowej wartości produktu, a tym samym obniżenie płac (Rothbard 1977, str. 132-33).

Reisman zaprzecza, jakoby przechodzenie robotników z gospodarstw rolnych do fabryk, miało cokolwiek wspólnego z „wywłaszczeniem ludzi z ziemi i ograniczeniem ich dostępu do niej”. Utrzymuje on za to, iż zjawisko to miało miejsce wyłącznie z tego powodu, że preferowali oni pracę najemną. I ten „wybór” był możliwy dzięki „prywatnej własności ziemi i

respektowaniu praw własności właścicieli ziemskich”. Przez właścicieli ziemskich Reisman rozumie, oczywiście, nie rolników, którzy zostali zmuszeni przez feudalnych zaborców do uiszczania opłat za korzystanie z ich własnej ziemi, ale spadkobierców politycznych właścicieli.

Reisman niezbyt respektuje za to zwyczajowe prawa własności chłopów, kiedy stoją one na drodze forsy właściciela ziemskiego. Wykazuje się on zdumiewającą wręcz nieznajomością zagadnień praw własności w „reformie” ziemskiej Stuartów – posuwając się nawet do oskarżenia mnie o sympatyzowanie z systemem feudalnym. „Reforma” Stuartów rzeczywiście zastąpiła feudalne prawo dzierżawy ziemi zasadą „własności prywatnej”. Jednak Reisman wydaje się nie zdawać sobie sprawy, że istniały dwa możliwe sposoby przeobrażenia feudalnej własności w nowoczesną własność prywatną. Jednym z nich byłoby unieważnienie roszczeń „własnościowych” ziemskiej arystokracji, które istniały wyłącznie w feudalnej teorii prawnej, i uregulowanie istniejącego *de facto* tytułu chłopów rolnych, którzy zajmowali ziemię od czasów przed Zaboru. Drugi, to przekształcenie nominalnych roszczeń feudalnych potentatów ziemskich w nowoczesne prawo własności prywatnej i tym samym przekształcenie chłopów w wolnych dzierżawców.

W tym przypadku nie ulega wątpliwości, jakie są sympatie Murraya Rothbarda. Oto ustęp, z rozdziałów 10 i 11 „*The Ethics of Liberty*”, dotyczący feudalizmu, pod którym to pojęciem rozumie on „stałą agresję tytularnych właścicieli ziemskich wymierzoną przeciwko chłopom przekształcającą ziemię”:

Przypuśćmy jednak, że wieki temu Smith uprawiał ziemię, będąc jej prawowitym posiadaczem; i że następnie przyszedł Jones i osiadł nieopodal Smitha, gwałtem przejmując prawo do ziemi Smitha i egzekwując od Smitha „czynsz”, w zamian za przywilej dalszej możliwości uprawy tejże ziemi. Przypuśćmy, że obecnie, wieki później, potomkowie Smitha (bądź też członkowie jakiegokolwiek innej rodziny) zajmują się uprawą tej samej ziemi, podczas gdy potomkowie Jonesa, tudzież ktokolwiek, kto nabył ich prawa, w dalszym ciągu pobierają daninę od współczesnych rolników. Gdzie leży rzeczywiste prawo własności w takim wypadku? Powinno być jasne, tak jak i w przypadku niewolnictwa, że mamy do czynienia z przypadkiem utrzymującej się agresji w stosunku do prawdziwych właścicieli – prawdziwych posiadaczy – ziemi, rolników bądź chłopów, ze strony nielegalnego właściciela, człowieka, którego pierwotne i nadal obowiązujące prawo własności ziemi i jej owoców wynikało z gwałtu i przemocy. Tak jak pierwszy Jones był agresorem w stosunku do pierwszego Smitha, tak samo obecni chłopci doświadczają agresji ze strony współczesnego posiadacza pochodzącego od Jonesa tytułu do ziemi. W tym przypadku, który moglibyśmy nazwać „feudalizmem” lub „monopolem ziemskim”, roszczenia feudalnych i monopolistycznych właścicieli ziemskich do ziemi nie mają żadnego umocowania prawnego. Obecni „najemcy” lub chłopci powinni być absolutnymi właścicielami swojej własności i, tak jak w przypadku niewolnictwa,

prawo do ziemi powinno zostać na nich przeniesione bez odszkodowania dla monopolistycznych właścicieli ziemskich. (1998, str. 66, 69)

Nawet Mises, niewątpliwie bardziej konwencjonalnie prawicowy niż Rothbard, powiedział w kwestii ziemi co następuje:

Nigdzie i nigdy wielkoskalowa własność ziemi nie powstała drogą ekonomicznych procesów na rynku. Jest ona rezultatem podboju militarnego i politycznego. Mając za podstawę przemoc, utrzymywana była ona wyłącznie dzięki przemocy. Jak tylko latyfundia wkraczają na rynek, zaczynają upadać, aż znikają całkowicie. Ani podczas ich tworzenia, ani w żadnym momencie ich istnienia nie działały siły rynkowe. Wielkie fortuny ziemskie nie powstały poprzez ekonomiczną wyższość wielkiej własności, ale dzięki przymusowej aneksji poza sferą rynkową. (1951, str. 375)

Jednak sympatie Reismana leżą niezmiennie po stronie feudalnych właścicieli ziemskich. Na przykład broni on ogradzania jako zwykłego przejawu „*prawa ziemiaństwa do zwalniania niepotrzebnych pracowników*” – rzeczowe twierdzenie porównywalne do tego z „*1066 and All That*”, według którego Papież i wszyscy jego biskupi odłączyli się od Kościoła Anglikańskiego. Wspólności były wspólną *własnością* mieszkańców wsi; ogradzanie pól było *kradzieżą*, jasne i proste. Jednak Reisman nie wstydzi się usprawiedliwić owej kradzieży względami praktycznymi, gdyż konsolidacja ziemi umożliwiła powstanie naukowego rolnictwa. Okazuje się, że dla Reismana pogwałcenie praw własności jest zupełnie w porządku, jeśli tylko sprzyja to „postępowi”. Jeśli skradziona własność może zostać wykorzystana w bardziej produktywny sposób przez złodzieja, kradzież znajduje usprawiedliwienia werdyktem historii. Chętnie poznałbym poglądy Reismana w sprawie *Kelo v. City of New London*.

Nawet gdy Reisman przyznaje, że miało miejsce wywłaszczenie chłopów z ziem do nich należących, stwierdza on, wspaniałomyślnie, że „*nie ma powodów, aby przypuszczać, że system gospodarczy, gdyby takie wywłaszczenia nie nastąpiły, znacząco by się różnił, jeśli chodzi o zakres pracy najemnej i samozatrudnienia*”. Oczywiście, znowu przyjmuje *implicite* założenie, że praca najemna i oddzielenie siły roboczej od własności to jedyne sposoby na akumulację kapitału i zorganizowanie produkcji masowej – bowiem naród chłopów-posiadaczy i samozatrudnionych rzemieślników nie byłby w stanie dobrowolnie organizować wspólnej pracy, nie mając Johna Galta za nadzorcę.

Kończąc swój komentarz mojego opisu akumulacji pierwotnej, Reisman powtarza, że jest on „*po prostu bezpodstawny*”.

Jak się o tym przekonaaliśmy, do oddzielenia siły roboczej i ziemi doprowadziły nie jakieś niegodziwości, które mogły zostać popełnione w związku z ogradzaniem czy czymkolwiek innym, ale wzrost produktywności w rolnictwie i kopalnictwie.

Nie; „już się przekonaliśmy” co najwyżej o tym, że Reisman bez przerwy powtarza swój zarzut o bezpodstawności, ignorując ogromną liczbę przytoczonych przeze mnie i przeczących temu dowodów na to, jak państwo w rzeczywistości wywłaszczyło klasy pracujące, a następnie interweniowało poprzez takie formy kontroli społecznej jak *Laws of Settlement* i *Combination Laws*, żeby ograniczyć siłę przetargową pracowników na rynku pracy. Jego *modus operandi* jest następujący: streścić, możliwie kiepsko, ogólny zarys moich argumentów (jeśli nie zniekształcić je całkowicie), ignorując wszelkie dowody, po czym wysunąć powierzchowne, ogólnikowe kontrargumenty, poparte marnymi lub żadnymi dowodami. Kończy, powtarzając swoje bezpodstawne przekonanie, podlane, żeby nie było, retorycznym sosem, jako dowód („jak już się przekonaliśmy”). I, co jeszcze bardziej niesamowite, twierdzi on, że jego wersja wydarzeń „wynika z ekonomii” – z pewnością najwspanialszy wyczyn w dziedzinie dedukcji *a priori*, jaki kiedykolwiek widziałem.

Przecież nie ma najmniejszej różnicy dla obecnego „sposobu organizacji gospodarki kapitalistycznej” czy kapitał zgromadzony został przez klasy pracujące poprzez akumulację ich własnych zasobów, czy też zasoby te zgromadzili złodzieje, którzy następnie zatrudnili klasy pracujące do pracy na zgromadzonych środkach produkcji. No tak, bez różnicy, może tylko dla tych, którzy wykonują pracę.

Reisman dowodzi także, że tak naprawdę nie gra roli, czy klasy pracujące zostały ograniczone w przeszłości ze swojej własności, gdyż nawet bez takiej grabieży własność ta i tak znalazłaby się w najbardziej efektywnych rękach. Choć sam Reisman nie przywołuje tutaj Coase’a, jego widmo niemniej jednak unosi się nad tym akapitem.

Jeśli chodzi o zagadnienie akumulacji pierwotnej, istnieje niesamowite podobieństwo między Reismanem i najbardziej wulgarnym z wulgarnych marksistów, Friedrichem Engelsem. Engels w „*Anti-Dühring*” twierdził, że proces akumulacji pierwotnej przebiegłby w dokładnie taki sam sposób bez jakiegokolwiek wywłaszczenia dokonanego przez państwo, wyłącznie w konsekwencji sukcesu i porażki na wolnym rynku. Zasadniczo, Engels odstawia na bok wszystkie prace Marksa o pierwotnej akumulacji, w których Marks opisywał masowe, „*zapisane krwią i ogniem*” wywłaszczenia warstwy chłopskiej. Engels w praktyce zatem przyjmuje „burżuazyjną bajeczkę” o akumulacji pierwotnej, ośmieszoną tak przez Marksa, jak i przez Oppenheimera, według której obecny rozkład własności odzwierciedla niekończące się pasmo zwycięstw odniesionych przez pracowitą mrówkę nad leniwym pasikonikiem. Sam Marks, trzeba zaznaczyć, był w defensywie, jeśli chodzi o logiczne implikacje jego wersji historii akumulacji pierwotnej. Dlaczego? Bowiem cała szkoła radykalnych liberałów klasycznych i rynkowych ricardiańskich socjalistów twierdziła, że to państwowy rabunek oraz narzucona przez państwo nierówna wymiana były przyczynami ekonomicznego wyzysku. Jak napisał Maurice Dobb w swoim wprowadzeniu do „*Przyczynku do krytyki ekonomii politycznej*” Marksa:

szkoła pisarzy, których ochrzczono mianem socjalistów ricardiańskich, (...) o których można by powiedzieć, że utrzymywali „prymitywną” teorię wyzysku, wyjaśniała zysk z kapitału jako rezultat większej siły przetargowej, braku konkurencji i „nierównej wymiany między Kapitałem i Pracą”. (...) Wyjaśnienia ta-

kiego Marks raczej unikał aniżeli poszukiwał. Według tego podejścia bowiem wyzysk nie był spójny z prawem wartości i konkurencją rynkową, ale miał wynikać on z niedoskonałości i odstępstw od tej właśnie konkurencji. Ricardiańscy socjaliści oferowali zatem łatwą odpowiedź liberalnym ekonomistom i zwolennikom wolnego handlu: „dołączcie do nas w domaganiu się prawdziwie wolnego handlu, a wtedy żadna ‘nierówna wymiana’ ani wyzysk nie będą mieć miejsca”. (Marks 1970, str. 13)

I jak stwierdziłem w mojej książce, właśnie tę „łatwą odpowiedź” przyjęli Thomas Hodgskin i indywidualistyczni anarchiści amerykańscy. Największy z tych ostatnich, Benjamin Tucker, któremu zarzucono bycie „zatwardziałym manczesterystą”, nosił tę plakietkę jak order honorowy. Engels stanął przed podobnym problemem w świetle „teorii przemocy” w wyzysku Eugena Dühringa. Zmuszony był porzucić Marksowską historię akumulacji pierwotnej, ponieważ uznał jej implikacje za politycznie i strategicznie nie do zaakceptowania. Podejrzewam, że Reisman powodowany jest podobnymi pobudkami.

Walter Block zawarł Oppenheimera i kilku innych lewicujących wolnorynkowych radykałów na swojej liście wybitnych libertariańskich osobistości, znajomość których na tak niewiele mi się zdała. Reisman z kolei zadawała się krótkim warknięciem na Oppenheimerowską teorię politycznego zawłaszczenia ziemi jako koniecznego warunku wyzysku ekonomicznego. Odrzucając go, odrzuca on oczywiście nie tylko Alberta Nocka, którego nawet w konwencjonalnym wolnorynkowym środowisku ogłoszono półbogiem; odrzuca on także Rothbarda. Krótko mówiąc, Reisman przyjmuje postawę dużo bardziej obronną niż Block w swojej obsesji obrony dystrybucji własności w obecnie istniejącym kapitalizmie. Reisman chętnie odciąłby się od większej części wolnorynkowej tradycji libertariańskiej, jako że zawsze odciąć można gangrenowatą kończynę, aby ocalić to, co postrzega on jako jej serce: obronę ostatniej i najlepszej z uciskanych mniejszości, Wielkiego Biznesu. Odcina się również od całej radykalnej spuścizny wczesnego klasycznego liberalizmu i jego kontynuatorów, takich jak Oppenheimer i Nock (którzy wywarli tak ogromny wpływ na samego Rothbarda), po to, aby wesprzeć bogatych i potężnych. Wypiera się zatem całej myśli Rothbarda, na którą (jak mówi w swojej recenzji Long) tak daleko idący wpływ miał indywidualistyczny anarchizm.

Reisman poświęca także sporą część swojej recenzji na propagowanie swojej własnej nowatorskiej idei: że płace są dedukcją od tego, co w przeciwnym razie byłoby zyskiem. Zgodnie z tym podejściem, przychód ze sprzedaży netto po odliczeniu wydatków stanowi dla rzemieślników zysk; pojawienie się systemu pracy najemnej oznaczało po raz pierwszy odjęcie płac od tego zysku. Oczywiście przychód netto po odliczeniu wydatków był powodem, dla którego rzemieślnik wkładał wysiłek: żeby uzyskać dochód, który pozwoli mu się utrzymać. I jeśli dochód ten nie byłby wystarczającym wynagrodzeniem za jego wysiłek, przestałby on pracować. Jak mówi sam Reisman, zysk, nie płace, są pierwotną i główną formą *dochodu z pracy*. Tak więc, co by nie mówić, nawet Reisman przyznaje, że pierwotną formą dochodu był dochód z *pracy*. Wynagrodzenie za pracę, poza zwrotem kosztów surowców i narzędzi, to właśnie to, co motywuje pracujących na własny rachunek pracowników

do pracy; czy Reisman nazwie to „płacą” czy „zyskiem” jest tutaj bez znaczenia. Zostawiając na boku nowatorstwo, twierdzenie Reismana nie jest dla mnie niczym więcej, jak nic nie wnoszącym rozróżnieniem.

Reisman, tak samo jak Block, wykazuje właściwą dla wulgarnych libertarian tendencję do zapominania, czego tak naprawdę bronił minutę wcześniej: zwycięzców w obecnym systemie czy zasad wolnego rynku jako takich. Wielokrotnie twierdzi on, że rolnictwo i produkcja na niewielką skalę *nie mogłyby* być bardziej wydajne niż duże korporacje, ponieważ gdyby tak było, duże korporacje przegrywałyby konkurencję. Niestrudzenie przeskakuje z trybu oznajmującego do warunkowego, opisując jak wolny rynek *działa* albo *działałby* w zależności od tego, co korzystne dla obrony wielkiego biznesu:

W przypadkach, w których produkcja na dużą skalę lub własność na dużą skalę (...) rzeczywiście jest relatywnie niewydajna, wolny rynek działa, zastępując je bardziej wydajnymi firmami lub własnością na niewielką skalę.

Cóż, tak, wolny rynek *zadziałałby* w ten sposób. Czy mamy wolny rynek? Tak czy nie? Jeśli tak, to obecne rozmiary wielkiego biznesu są dowodem na jego większą efektywność. Jeśli nie, to oznacza to, że to, co realne niekoniecznie jest racjonalne.

Tak jak Block, Reisman sprzeciwia się mojemu podejściu do nadakumulacji i podkonsumpcji w kapitalizmie państwowym dwudziestego wieku i wynikających z tego tendencji imperialistycznych. Jak Block, zdaje się on nie do końca zdawać sprawę, czego tak właściwie broni, w jednym miejscu przyznając, że kapitalizm państwowy w pewnym stopniu istnieje – następnie zaprzeczając, w oparciu o zasady funkcjonowania wolnego rynku, jakoby mogły istnieć tendencje do nadakumulacji i podkonsumpcji. I znowu (jak Blocka) chciałbym odesłać go do przełomowego artykułu Stromberga „*The Role of State Monopoly Capitalism in the American Empire*” (patrz poprzedni cytat), przedstawiającego podejście szkoły austriackiej do tych zjawisk. Jak już wspomniałem, Reisman zmuszony jest odciąć się od najlepszej części swojej własnej tradycji, gdyż mogłaby ona zagrozić jego dążeniu do prześcignięciu Misesa w obronie wielkich korporacji. Zmuszony jest też odrzucić całą dokonaną przez Nową Lewicę analizę kapitalizmu państwowego – Weinsteina, Kolko, Williamsa itd. – z której Rothbard zrobił tak produktywny użytek, ponieważ osłabia ona jego pozycję strategiczną.

Na koniec, z wielką chęcią gotów jestem uznać trafność jednego elementu krytyki Reismana: moja analiza Böhm-Bawerka oparta była o tłumaczenie Smarta pierwszego niemieckiego wydania, nie zaś trzeciego. Jeśli opublikuję nowe wydanie książki, skoryguję ten defekt.

Riposta do Rodericka Longa

Najpierw wyjaśnienie: jako że w mojej książce użyłem frazy „wspólne dziedzictwo”, aby scharakteryzować zarówno poglądy georgistów, jak i Ingallsa-Tuckera, odkryłem, że niektórzy

georgiści rozumieją „wspólne” jako „należące do wielu”, a nie jako „kolektywne”: że każdy człowiek ma, z tytułu urodzenia, równe i niezależne prawo dostępu do ziemi. A ponieważ korzystnie położone grunty nie są dobrem reprodukowalnym, „prawo równej wolności” implikuje konieczność wypłaty odszkodowania tym, którzy zostali wykluczeni. Społeczność nie jest kolektywnym posiadaczem, ale raczej pośrednikiem wszystkich ludzi, gwarantującym swoim członkom prawo dostępu do wspólności.

Tucker, podobnie, wyprowadził prawo dostępu dedukcyjnie, poprzez zasadę „równej wolności”, od samoposiadania.

W takim razie, technicznie rzecz ujmując, mutualiści i georgiści nie wynoszą wspólnego dziedzictwa ludzkości do rangi odrębnej i niezależnej od samoposiadania zasady. Jednak wynika ono z niego tak bezpośrednio, że zbliża się do statusu niezależnego aksjomatu.

Long rzuca wyzwanie zasadzie wspólnego dziedzictwa, jako że ludzkość nigdy nie nabyła prawomocnego tytułu do ziemi za pomocą kolektywnego zmieszania pracy. (Wydaje mi się, że argument ten można by równie dobrze odnieść do wielu praw równego dostępu, które opisaliśmy powyżej). Jakkolwiek oryginalny nie byłby to argument, muszą oponować, że kolektywne (lub „wspólne”) prawo ludzkości do ziemi jako dziedzictwa oraz indywidualne prawo własności ustanowione przez pracę, to dwa zupełnie odrębne zbiory zasad dla zupełnie innych klas „własności”. Long myli jabłka z pomarańczami. Zasady indywidualnego zawłaszczenia poprzez pracę istnieją w świetle szerszych i bardziej fundamentalnych zasad wspólnego dostępu do ziemi i są sposobem na wprowadzenie w życie tego powszechnego prawa zgodnie z zasadą równej wolności.

Choć Long antycypuje powyższy argument, jakoby powszechne prawo dostępu oraz indywidualne prawa własności ustanowione przez pracę stanowiły dwie odrębne klasy praw, dowodzi, że to pierwsze stanowi pogwałcenie prawa samoposiadania. Każdy człowiek, łącząc swoją pracę z zasobami naturalnymi, czyni je niezbywalnym dopełnieniem swojej osoby w takim samym znaczeniu, w jakim jest nim jego ciało.

Jakkolwiek oryginalna (ponownie) mogłaby się wydać ta teoria, nie wydaje mi się, aby była ona w stanie oprzeć się głębszej analizie w stopniu większym niż pierwszy argument Longa. Jak zaznaczył Nozick, teoria praw własności obejmuje nie tylko zasady pierwotnego nabycia, ale także zasady przeniesienia i porzucenia. Jak twierdził Bill Orton (cytowany w piątym rozdziale mojej książki), wszelkie teorie praw własności, włączając w to Locke’a, posiadają klauzule bezprawnego posiadania i konstruktywnego porzucenia własności. Różnią się one tylko stopniem aniżeli jakością: stopniem „lepkości”, jak określa to Orton. Istnieje spora doza konwencjonalizmu w systemie praw własności – u georgistów, mutualistów, a także w lockeanizmie z klauzulą i bez niej – jeśli chodzi o zdefiniowanie przekazania i porzucenia. I zmieszanie pracy z ziemią również zawiera element konwencji, nawet jeśli chodzi o ustalenie, jaka część ziemi została zawłaszczona, czego rezultatem jest niepewność co do granicy między tym co własne, a tym co cudze, a więc nie stanowiącym części „ciała”. Te rozważania, jeśli potraktować je razem, zdawałyby się wskazywać na to, że zawłaszczenie ziemi nie tworzy tak bliskiego i niezbywalnego związku z „ja”, jak własność nad swoim ciałem.

W odpowiedzi na końcowy kontrargument Longa, odnośnie do rozmiaru wspólnego dziedzictwa (np. hipotetycznego roszczenia obcych z innej galaktyki do całego kosmosu jako wspólnego dziedzictwa wszelkich inteligentnych form życia), mogą jedynie odpowiedzieć, że wchodziłoby ono w rachubę jedynie w takich samych okolicznościach, jak klauzula Locke'a: tj. gdy więcej niż jedna istota pragnie tego samego kawałka ziemi, a posiadanie go przez jedną wyklucza konkurencyjne roszczenia dostępu ze strony pozostałych. Monopol ziemski będzie punktem spornym, dopóki lokalny popyt na ziemię nie przekroczy jej podaży.

Oczywiście, Tuckerowskie rozumienie prawa równej wolności zignorowało wszystkie te rozważania i zostało oparte na czysto stirnerowskich podstawach: w bezpieczeństwa społeczeństwie niewidzialny mechanizm w końcu doprowadziłby do wspólnego uznania prawa równego dostępu jako sposobu na minimalizację konfliktu. Również Per Bylund ma kilka świeżych, interesujących uwag na ten temat. Przykładowo, w swojej pracy magisterskiej przedstawia on nowatorskie podejście do podstaw zasady samoposiadania (Bylund 2005a). W innym zaś dziele, usiłuje rozstrzygnąć konflikt pomiędzy Locke'ańskimi i posesoryjnymi teoriami własności (2005b).

Bardzo ciepło witam stanowisko Longa na kolektywne zawłaszczenie i na wspólności jako formie wspólnej własności prywatnej. Sprawdziłoby się ono w uleczeniu atomistycznych ekscesów niektórych wulgarnych libertarian, którzy zaprzeczają możliwości istnienia praw kolektywnych i którzy faktycznie użyli takich argumentów, żeby unieważnić prawa plemion do terenów łowieckich, praw mieszkańców wsi do wspólności (patrz np. recenzja Reismana) itd. Oczywiście, również tutaj konieczny jest zespół konwencjonalnych reguł, określających, ile wspólnej pracy jest potrzebne do zawłaszczenia jakiej ilości ziemi i surowców.

Fakt, że Long wziął pod uwagę możliwość kolektywnego zawłaszczenia może także zawoalować bardziej pokojowymi możliwościami niż on sam przewidywał, co sprawi, że znaczna część naszego sporu nie będzie szczególnie kontrowersyjna. Co najbardziej prawdopodobne, jedynym kryterium, według którego można określić czy wspólna własność występuje w danej społeczności i jej zasięg, są lokalne konwencje dotyczące prawa własności, niezależnie od tego, czy pisane, czy nie, które wytworzyły się na przestrzeni czasu. W związku z tym, to czy dana społeczność posiada wspólne prawa zgodnie z georgistowskimi, mutualistycznymi czy lockeańskimi zasadami, zależy głównie od tego, jakie zasady wyznaje większość danej społeczności. W rezultacie mamy do czynienia z panarchią, w której konkurujące ze sobą lokalne systemy własności istnieją obok siebie – miejmy nadzieję, że pokojowo.

W praktyce, narzucenie mutualistycznego, georgistowskiego czy Locke'ańskiego standardu własności dysydemom w społeczności, w której dominują inne przekonania, byłoby nieprzyzwoicie kosztowne. W związku z tym, anarchokapitalistyczne agencje ochrony musiałyby mieć klauzulę wyłączającą z zasady możliwość dochodzenia przez nieużytkującego właściciela swoich praw w społeczności tuckerystów, a mutualiści powstrzymaliby się od ataku na sąsiadującą z nimi społeczność rothbardiańską, aby obronić dzierżawcę przed właścicielem i tak dalej. Z kolei na rzadko zaludnionych terenach, w praktyce, obowiąz-

zywałyby *de facto* własność posesoryjna, gdyż w większości przypadków wolnorynkowy koszt zatrudnienia agencji ochrony do obrony praw nieobecnego właściciela przeciwko squattersom prawdopodobnie przewyższałby wartość nieruchomości. I w końcu, przy braku państwa zapanowałyby pokojowa panarchia, gdyż wojna najzwyczajniej w świecie by się nie opłacała.

Bibliografia

- Block W., i Llewellyn H. R., Jr. 1988. *Professor Rothbard and the Theory of Interest* [w:] *Man, Economy and Liberty: Essays in Honor of Murray N. Rothbard*, red. Walter Block i Llewellyn H. Rockwell, Jr., Auburn, Ala.: Auburn University Press.
- Buchanan J. 1999. *Cost and Choice: An Inquiry in Economic Theory*. [w:] Vol. 6 *Collected Works*. Indianapolis: Liberty Fund.
- Bylund P. 2005a. *Man and Matter: A Philosophical Inquiry into the Justification of Ownership in Land from the Basis of Self-Ownership* (Lunds Universitet, 2005). http://www.perbylund.com/academics_polsci_msc.pdf.
- Bylund P. 2005b. *Private Property or Possession: A Synthesis*, 7 września 2005, http://www.anarchism.net/anarchism_privatepropertyorpossessionasynthesis.htm.
- Gimpel J. 1977. *The Medieval Machine: The Industrial Revolution of the Middle Ages*. Nowy Jork: Penguin.
- Marglin, S. A. 1974. *What Do Bosses Do? The Origins and Functions of Hierarchy in Capitalist Production—Part I*. „*Review of Radical Political Economics*” 6:2, lato. Dostępne na http://post.economics.harvard.edu/faculty/marglin/papers/What_Do_Bosses_Do.pdf
- Marx, K. 1970. *Contribution to the Critique of Political Economy*, Nowy Jork: International Publishers.
- Marx, K., i Engels F. 1884. Wprowadzenie do pierwszego niemieckiego wydania *The Poverty of Philosophy* [w:] *Collected Works*, t. 26, 1990. Nowy Jork: International Publishers, s. 286–87.
- Mises, L von. 1951. *Socialism*, Nowy Jork: Yale University Press.
- Perelman, M. 1977. *Farming for Profit in a Hungry World: The Myth of Agricultural Efficiency* [w:] *The Political Economy of Food and Energy*, Ann Arbor: University of Michigan, 1977.
- Reisman, G. 1998. *The Scholastics Contributed Nothing to Sound Economics* [w:] *Capitalism: A Treatise on Economics*, Ottawa Ill.: Jameson Books.

- Rothbard, M. N. 1998. *The Ethics of Liberty*, Nowy Jork: New York University Press.
- Rothbard, M. N.. 1997. *The Logic of Action I: Method, Money, and the Austrian School*, Cheltenham, U.K.: Edward Elgar.
- Rothbard, M. N.. 1995. *Economic Thought Before Adam Smith: An Austrian Perspective on the History of Economic Thought*, t. I. Cheltenham U.K.: Edward Elgar.
- Rothbard, M. N.. 1993. *Man, Economy, and State: A Treatise on Economic Principles*, Auburn, Ala.: Ludwig von Mises Institute.
- Rothbard, M. N. [1970] 1977. *Power and Market: Government and the Economy*, Kansas City: Sheed Andrews i McMeel, s. 59.
- Sale, K. 1995. *Rebels Against the Future*, Reading, Mass.: Addison-Wesley.
- Sale, K. 1980. *Human Scale*, Nowy Jork: Coward, McCann i Geoghegan.
- Sciabarra, C. 2005. *Capitalism: The Known Reality*, 4 luty, dostępne na <http://www.nyu.edu/projects/sciabarra/notablog/archives/000288.html>.
- Shea, R. i Wilson R. A. 1975. *Illuminatus, Trilogy*, Nowy Jork: Dell.
- Stein, B. 1974. *Size, Efficiency, and Community Enterprise*, Cambridge, Mass.: Center for Community Economic Development.
- Stromberg, J.. 2001. „Journal of Libertarian Studies”15, nr 3, lato, s. 57–93, dostępny na http://www.mises.org/journals/jls/15_3/15_3_3.pdf.
- Tuccille, J.. 1970. *Bits and Pieces*, „Libertarian Forum”, 1 listopad 1: 3.
- Wakefield, E.G. [1849] 1969. *A View of the Art of Colonization*, Przedruki klasyków ekonomii, Nowy Jork: Augustus M. Kelley.
- Wakefield, E.G.. 1834. *England and America*, Nowy Jork: Harper and Brothers.
- Williamson, Oliver. 1985. *The Economic Institutions of Capitalism: Firms, Markets, Relational Contracting*, Nowy Jork: New York Free Press; Londyn: Collier Macmillan, 1985).

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Kevin Carson
Repliki
2006

liberalis.pl

W artykule Carson odpowiada na recenzje jego książki *"Ekonomia polityczna mutualizmu"*.
Pierwotnie opublikowane w "The Journal of Libertarian Studies" (Volume 20, Number 1
(2006)).

pl.anarchistlibraries.net